N. 34. WARSZAWA d. 12 (24) Sierpnia ROKU 1872.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

ZE WSPOMNIEŃ KOBIETY

POWIEŚĆ

ORYGINALNIE NAPISANA

przez

Marję Dekalk.

(Dalszy ciąg.)

Nieznośne żniwa zabierały mi ciągle męża; nie śmiałam już sprzeciwiać się jego częstym wyjazdom, lubo nudno i przykro mi było saméj pozostawać. Nikt nie przyjeżdżał, wszyscy widocznie tylko o żniwach myśleli. Zdziwiłam się też niezmiernie, ujrzawszy nieznany elegancki koczyk zatrzymujący się pewnego popołudnia przed naszym gankiem, a zdziwienie wzmogło się jeszcze bardziej, gdy właściciel ekwipażu Amilkar wszedł do salonu.

— Doprawdy! stanowisz pan wyjątek z ogólnie przyjętéj reguły!—zawołałam wesoło, podając mu rękę. Podczas gdy wszyscy tylko żniwami zajęci, pan nie daje się porwać manji gospodarskiej, i przybywasz z odwiedzinami jakby w porze wolnej od zajęcia, zawracającego głowy całéj kolekcji panów gospodarzy...

— Słowa pani, jeśli się nie mylę, dobrze mi wróżą! z czego się niezmiernie cieszę!—wyrzekł Amilkar siadając naprzeciw mnie z miną ożywioną.

— A co mianowicie?.. spytałam nierozumiejąc wyrażenia.

— Że pani jest znudzona gospodarstwem, zniecierpliwiona samotnością i zagniewana na domatorów i hreczkosiei.

— I to pana tak cieszy?

— Naturalnie—nie będąc ani jednym ani drugim, mam błogą nadzieję zabawienia choć trochę pani i rozpędzenia z tego pięknego czoła chmurek nagromadzonych, odparł swobodnie pan Amilkar, niezważając na moje zapłonienie.

— Więc pan nie lubisz gospodarstwa, nie zajmujesz się niem? zapytałam po chwili.

— Przeciwnie!—ale to mię nie skazuje na pełnienie obowiązków ekonoma, i dozwala myśleć o innych nie tyczących się uprawy roli i hodowli inwentarza przedmiotach. W istocie, różnię się w tem zupełnie od moich sąsiadów i całkiem inne mam zdanie.

— Uważasz pan takie pilne zajęcie się osobiste gospodarstwem jako zbyteczne?

— Niezawodnie pani! Jakiż smutny los byłby gospodarzy wiejskich, gdyby całe życie tylko spędzić musieli na rachowaniu wydatków i zbiorów, oraz badaniu tak poziomych kwestji jakie co krok nasuwają się w gospodarstwie przed oczy. Czemże staliby się nakoniec? do jakiegoż by doszli znicestwienia moralnego! Nie, dla człowieka należycie pojmującego swoje stanowisko, nigdy podobny system nie znajdzie uznania? powiedział z zapałem pan Amilkar.

— Pan ma słuszność!—odparłam z cichem westchnieniem, które znaczyło: czemu Jarosław tak nie myśli...

— Czy Jarosława nie ma w domu?—zapytał jakby na przekorę mój gość, topiąc przenikliwe spojrzenie w méj twarzy.

— Nie ma go! jest w polu!—powiedziałam zmięszana i zawstydzona, że muszę potwierdzić podejrzenia widoczne w oczach pana Amilkara. Ale dodałam—zapewne niebawem wróci!

— Pani! mimo całéj przyjaźni jaką mam dla Jarosława, nie mogę zapragnąć, aby czyjekolwiek przybycie przerwało sposobność miléj z nią rozmowy!—rzekł z półukłonem pan Amilkar, w nowe wprowadzając mię zakłopotanie. Ładna gałązka werbeny leżąca przedemną na stole, dała mi myśl do zapytania...

— Lubisz pan kwiaty?

— Lubię wszystko co piękne, piękno w jakiejkolwiek bądź formie wywiera na mnie głębokie wrażenie....

— Pan musisz być artystą?

— Niestety, pani! zbyt wielkie poczucie piękna wszechstronnego, nie dozwoliło przyswoić sobie jeden jego odłam i zrobić go kunsztem. Zarówno uwielbiam muzykę jak malarstwo, śpiew i rzeźbę, a niczemu nigdy zupełnego pierwszeństwa oddać nie mogłem. Rysuję nieco, gram trochę, ale wszystko to posiadam w bardzo miernych stopniach umiejętności! wyrzekł pan Amilkar.

— Dziwi mię, że przy takiem usposobieniu zamieszkałeś pan na wsi, gdzie naturalnie upodobania artystyczne nie mogą być zadowolnione.

— Mimo, że taka sposobność na wsi mniej często się zdarza, jednak umiejętne oko wszędzie potrafi dojrzeć cóś z tego piękna i cieszyć się niem, a nakoniec dodaje do treści poprzedniéj naszéj rozmowy i wyrzeczonego przezemnie zdania: że przedewszystkiem uznaję koniecznym do szczęścia warunkiem, wszechstronne wykształcenie i szersze pojęcie o własnem stanowisku, które wskazuje nam właściwą drogę, nie dozwalając popaść w zaniedbanie lub przesadę!

Znów musiałam przyznać słuszność twierdzeniu, lubo poważne i głębokie te wyrazy, wymówione głosem bez dźwięku, miarowym, jakby czytane bez przejęcia frazesy, nie sprawiały porywającego wrażenia. Każdy mógł tylko powiedzieć, że to jest młody człowiek *dobrze* mówiący, ale nic więcéj nie można było dodać. Ale ja byłam bardzo spragnioną żywszéj gawędy, przedłużyłam więc i tę, z przyjemnością nie robiąc żadnych krytycznych uwag. Amilkar odpowiadał wesoło i dobranemi słowy, i nie mogłam zaprzeczyć sama sobie żeśmy się dobrze bawili.

O zmierzchu powrócił Jarosław. Grzecznie ale chłodno przywitał gościa i usiadł milcząco obok mnie, zdziwionéj jego niezwykłem obejściem. Wkrótce Amilkar pożegnał nas, lecz zaledwie ucichł turkot jego koczyka, gdy Jarosław wyrzekł niechętnie:

— Nieznośna figura!

— Kto? spytałam, zwracając się do niego.

— Pan hrabia Amilkar! Głowa pusta, efronterji massa i nieco poloru światowego,—oto cały skład téj zacnéj persony! wymówił Jarosław.

— Zbyt go ostro sądzisz, bo mnie się przedstawił jako człowiek wykształcony, miły i z pięknemi pojęciami—odparłam.

— Widocznie kobietom nie wiele potrzeba aby je zachwycić!..

— Do zachwytu daleko! ale mój rozumny panie, czegóż to dowodzi?

— Że sąd wasz płytki, a uczucia zaślepione! powiedział niegrzecznie mój mąż.

— Co tobie się zrobiło Jarosławie?.. zkąd zdania takie? które podziwiam! ale nie pojmuję!

— Przedstawiłem ci się jako gbur, egoista, nieprawdaż?... zaczął nagle z innego tonu Jarosław.

— Nie! ale ja cię nie poznaję!..

— To nic, moja droga Janko! Kochaj mię zawsze, bądź aniołem i wierz że cię kocham nad wszystko w świecie. Wierz w to zawsze!... mówił dziwnym głosem, obejmując mię z czułością.

Tylko coś nadzwyczajnego mogło spowodować taki wybuch w spokojnym męzkim charakterze Jarosława. Spojrzałam mu w oczy badawczo, ale łagodne, rozumne źrenice miały zawsze jednaki wyraz szlachetnéj powagi. Ukrywając niepokój i zdziwienie, zapytałam:

— Czy ci dałam powód do tych słów? niewdzięczny!...

— Nie! ale jam był nieznośny! tyś może cierpiała?..

Nie myśl już o tem nigdy, nie zważaj jeśli jeszcze kiedy jakie przykre usłyszysz spostrzeżenie, złoż to na karb złego humoru i mantyctwa!.. Może to i lepiéj, że nie chcesz wyjść za obręb tej mgły srebrzystej marzenia i dziecinności...

Tak! to niezawodnie lepiéj!..

— Ah! mój drogi! ja nie wiem co chcesz powiedzieć? zawołałam smutno, bo czułam że w piersi Jarosława toczy się jakaś walka dla mnie ukryta. Wieczór krótki, ale piękny zeszedł nam miło na gawędce i muzyce, często jednak cień jakiś od czoła Jarosława chwilami marszczącego się bez przyczyny uciskał mi serce.

Było to w poniedziałek, i tydzień tak nieszczęśliwie zaczęty smutno się zakończył. W sobotę matka przysłała prosząc abyśmy przyjechali. Dawno nie byliśmy u rodziców, ale zaproszenie to nie z chęci widzenia nas wypływało. Bliska kuzyna jadąc do wód z mężem i córką, odwiedziła rodziców Jarosława, a że nie miał ich kto bawić, potrzebowano więc koniecznie czyjejś pomocy, i nas zawezwano dla rozrywki gości. Otyła, niemłoda ale ubrana z wielką pretensją dama, ujrzawszy mię założyła na nos binokle i przyglądała mi się z impertynencką miną. Fizognomja jej pełna złośliwości bardzo mi się niepodobała, i zaraz na wstępie zrażona jej protekcjonalnem obejściem, dość chłodno i surowo odpowiadałam na jej zabawne zapytania. Pozująca na wielką damę istota, odwróciła się odemnie wkrótce z niechęcią, i zajęła matkę opisaniem licznych swych wycieczek za granicę, i kaleczoną mową różnemi językami, dowodziła małéj wartości moralnéj i materjalnéj własnego kraju. Córka odpychające stworzenie, rozprawiała ciągle o balach i strojach, i kokietowała Jarosława który słuchał wszystkiego z miną zdecydowaną. Małżonek zaś, bardzo jowialny jegomość, przysiadł się do mnie, wciąż prawiąc jakieś żarciki, których ja prawie nic nie rozumiałam, ale czując że są nieprzyzwoite, rumieniłam się ogromnie, co dało pohop dowcipnemu panu, do nowych żartów z których sam się śmiał i cieszył serdecznie.

— Nie ma nic przyjemniejszego jak młoda mężatka! powtarzał do matki, którą widocznie wszystko gniewało i raziło.

Cała ta rodzina niemile na mnie sprawiła wrażenie, ale matka obywana w świecie formalistka, zgorszona była moją posępną twarzą, i dała mi to w dość uszczypliwy sposób kilka razy poznać. Naturalnie, zamiast poprawić zepsuło to do reszty humor, i wyjechałam z bólem głowy, mając pełne uszy opowiadań o Reichenhallu, Marienbadzie, Dreznie i Paryżu, o efekcie sprawianym przez paryzkie tualety na ubraniach tego karnawału, i nieznośnych dwuznaczników wesołego wielbiciela młodych mężatek.

Wyjeżdżając, wbiegłam po zostawiony szalik do małego pokoiku, oświetlonego bladem światłem lampy, i ze zdziwieniem ujrzałam tam matkę i Jarosława, rozmawiających żywo, ale cicho. Zbliżyłam się do nich pytając o treść sekretu.

Zamilkli oboje—a po małéj chwili powiedział Jarosław.

— To rzecz nudna, tycząca pieniężnych interesów,—co ci po niéj Janko? Lepiéj spać ciągle słodkim snem złotoróżowych marzeń i patrzeć na świat pogodnie przez mgłę wyobraźni!

Nic nie odpowiedziałam, pochyliłam się tylko do ręki matki, która jeszcze więcéj była chłodną i sztywną niż zazwyczaj. Przyjedziecie jutro?—wyrzekła żegnając nas skinieniem głowy.

Jarosław spojrzał na mnie pytająco, ja na niego...

— Przyjedziemy, powiedział nakoniec krótko.

Przez całą drogę siedział smutny i milczący. Nie śmiałam przerywać zadumy, ale i mnie ciężko było na sercu. Kochałam Jarosława nad wszystko w świecie, na jego skinienie byłabym życie poświęciła bez wahania, a jednak często czułam że go nie rozumiem, nie znam prawie, że wzajem się nie rozumiemy. Byłabym dała połowę, życia, gdybym mogła podzielić jego zmartwienie, gdyby mi powierzył smutek uciskający jego duszę, gdybym mu ulgę przynieść zdołała. Nie odważyłam się wyrzec słowa, po otrzymanéj raz odmowie a tembardziéj cierpiałam, że zdawało mi się iż do dzisiejszego stanu naszych stosunków, ja sama własną dziecinnością doprowadziłam. Może źle postępuję?.. pytałam się surowo saméj siebie, może powinnam była od początku zmienić się i stać bardzo poważną, aby się z nim zrównać, a potem dzielić wszystkie trudy i kłopoty... Teraz jestem dla niego prawdziwem bez użytku cackiem, i chociaż tak blisko niego, jakże daleką przepaścią w téj chwili od myśli jego zapewne jestem odłączona!.. On nie wie, nie przypuszcza nawet co się dzieje w sercu jego cacka, bo któż może myśleć o zabawie w dniu zajęcia i smutku...

I dla czego tak jest? powiedziałam sobie na wpół z płaczem. Lecz szczęściem przyjechaliśmy już do domu, i przykre milczenie zostało przerwane.

Jarosław jednak nie rozchmurzył czoła i zapalając świecę u kandeblabra w sypialnym stojącego pokoju, wyrzekł do mnie rozplatającéj przed lustrem włosy aby je ułożyć pod czepek.

— Dobranoc ci Janko! mam wiele listów do pisania na jutrzejszą pocztę. Posiedzę więc jeszcze parę godzin.

To mówiąc pocałował mię i wyszedł do swego pokoju, zamykając drzwi za sobą.

Gdy odgłos jego kroków przez długie dwa salony znikł i cisza mię ogarnęła, tak mi się smutno zrobiło, że płacząc rzuciłam się na łóżko i przytuliłam głowę do poduszek, aby łkanie nie dobiegło do jego uszu. On cierpi!.. a ja nie mogę go pocieszyć, nie wiem nawet co dolega temu, który posiada moją miłość nieograniczoną!.. Różne obrazy przesuwały się rozgorączkowanéj mojéj wyobraźni. Przypomniałam sobie wszystko cokolwiek kiedy zasłyszałam o emancypacji kobiet i równem ich z mężczyznami ukształceniu!

— O! wołałam, łamiąc rozpacznie ręce wśród téj długiéj nocy samotnéj, gdybym umiała tyle co on, mogłabym pójść śmiało żądając, aby mi wypowiedział to co jego zajmuje. I on by to zrobił, bo jabym wtedy pojęła wszystko, a może radą dopomogła lub ulżyła współczuciem!.. To znów słowa Dosi wracały jak czarne węże krępując zimnemi splotami biedne moje serce. A niekiedy zrywałam się i biegłam do drzwi, pragnąc pójść do niego, usiąść przy jego nogach i błagać w imie miłości; o! naucz ty mnie téj mądrości rzeczywistego życia!.. zbudź mię z niewiadomości, bo to nie sen słodki, lecz zmora dusząca!.. zrób mię prawdziwą kobietą!..

Ale tylko jasno obite ściany słyszały moje zaklęcia. Nie miałam odwagi iść daléj... wracałam znowu do sypialni i płakałam gorzko. Zmęczona, umilkłam potem, i leżąc cicho czekałam rychło drzwi się otworzą a ukochany powróci. Jednak długie minęły godziny, a zapłakane oczy moje widziały tylko różowe kwiaty i zielone listki bukietów obicia, aż ze zbytecznego natężania wzroku, wszystko oblokło szarą barwę. Róże bladły, liście znikały; chciałam podnieść rękę aby przetrzeć ociężałe powieki, ale ręka pozostała bezwładną i wkrótce wpadłam w półsen letargiczny nie tracąc zupełnie przytomności, a przecież drzemiąc nieprzerwanie.

Nie wiem jak długo pozostawałam w takim stanie, nakoniec drzwi się otwarły ostrożnie i Jarosław wszedł po cichu. Chciałam się zerwać, rzucić na szyję, wypowiedzieć wszystko, nie mogłam!.. Półsen trwał ciągle, mimo usiłowań leżałam bez ruchu. I zdawało mi się że obudzona wreszcie, staję przed nim, że mówię doń gorącemi słowy, że go obejmuję rękoma, a on zimny jak głaz siedzi nieporuszony, nie odpowiadając na moje zaklęcia. Potem słyszałam stuknięcie, i widziałam Jarosława idącego ku drzwiom, a każdy jego krok bolał mię, jakby stąpał po mojem ciele. Słyszałam cichą rozmowę, potem drzwi się zamknęły, a on znów przysunął się do światła, i rozerwawszy kopertę oddanego mu listu, chciwie czytać zaczął. Wtedy zebrałam wszystkie siły żeby mu wyrwać papier z rąk. Zdawało mi się że walczę z nim rozpacznie, że chwytam ten list, ale po chwili czułam znowu że nie ruszyłam się z miejsca... Jarosław tymczasem przeczytał list, złożył go i schował do kieszeni, poczem zamyślił się głęboko.

Wszystko to widziałam, ale usta nie wydały głosu, robiłam straszne wysiłki aby się wyrwać z téj bezwładności—nakoniec zbudziłam się i krzyknęłam przeraźliwie.

— List!.. ten list...

Sama zlękłam się własnego głosu. Jarosław zadrżał—i przybiegł do mnie pytając:

— Co tobie?..

— Daj mi ten list!.. zawołałam jeszcze pod wrażeniem widzenia.

— Co mówisz?—Janko!

— Ale ja nie śpię!.. tyś przed chwilą odebrał list, ja chciałam ci go wyrwać z rąk, ale nie mogłam!. daj mi go!.. mówiłam szybko.

— Sniło ci się Janko!—powiedział Jarosław zimno,—ale moja droga, uspokój się, napij się wody! dodał, podając mi wodę i zmieniając sposób mówienia.

— Nie! nie! ja widziałam!..

— Ale moja duszko! marzysz na jawie. Wypij wodę i zaśnij!..—wyrzekł stanowczo Jarosław, a widząc moje badawcze wejrzenie, pochylił się, pocałował mię w czoło i dodał.

— Dobranoc, droga!..

Rzeczywiście po kilku minutach spałam głęboko, ale ciężkim snem strudzenia. Jarosław został przy

mnie póki nie zasnęłam. Rano zbudziwszy się, ujrzałam go w téj saméj postawie siedzącego na małym taborecie przy łóżku. Znać nie spał wcale téj nocy. Zamyślony, z głową na ręku opartą przepędził długie godziny przy mnie wprawdzie, ale dla czego? Co go natchnęło tem uczuciem zbytecznéj troskliwości? Oto pytanie które natychmiast nasunęło mi się wraz z wspomnieniem widzenia.

Nie! to nie był sen, ja widziałam dobrze. Jarosław rzeczywiście odebrał jakiś list tajemniczy, krył coś przedemną z nieznanych mi wcale powodów. Pierwsze moje zapytanie było:

— Jarosławie! daj mi ten list! może to zła wiadomość od mamy lub Marjana, może to zła wieść nieszczęścia!... będę mężną! pewność będzie mniéj straszną od niepokoju!..

— Daję ci słowo, że nie miałem żadnéj wiadomości od mateczki albo Marjana... odparł łagodnie.

— A więc?.. badałam niepokojnie.

— Janino! nie wierzysz mi! podejrzywasz?.. O! to zaprędko, zawcześnie straciłaś zaufanie do mnie!.. zawołał smutnie Jarosław i coś jak łza błysnęła w jego męzkiem oku. Nie mogłam zaprzeczyć! Zazdrośne podejrzenie ogarnęło mi serce, cierpiałam bardzo, przywykłam uważać Jarosława jako istotę wyższą, szlachetność uosobioną teraz bladła aureola a on nie chciał się usprawiedliwić!..

Biedny ukochany mój Jarosław wyszedł z pokoju, ale widocznie walcząc z przykrem wzruszeniem.

Nie zatrzymałam go, nie wyciągnęłam do niego rąk gotowych do uścisku. Ukryłam głowę w poduszki i płakałam gorzko.

Trzeba było powstać i ubrać się, a potem pójść na śniadanie. Wykonałam wszystko machinalnie, opuszczając często ręce bezsilne, jak ktoś bardzo zmęczony.

Podczas śniadania, milczeliśmy oboje, tylko jednostajny odgłos zegaru przerywał tę ciszę nad wyraz smutną. Długo jednak siedzieliśmy przy stole, bo żadne z nas nieśmiało powstać, bez zwykłego uścisku na zakończenie. W każdym innym razie byłabym pierwsza rzuciła się w objęcie Jarosława z przeprosinami najsłodszéj wymowy, ale dziś czułam się dotkliwie obrażoną, znieważoną niemal. Połykając łzy, siedziałam wpatrzona w filiżankę z herbatą.

Nakoniec Jarosław powstał, zapalił cygaro i w przechodzie dotknąwszy ustami méj twarzy, szepnął:..

— Dziękuję!

Nie ruszyłam się z miejsca, choć serce gwałtownie szarpnęło się w piersi. Czekałam aż wyjdzie, i potem dopiero wybiegłam do ogrodu.

Piękny poranek letni rozżalił mię jeszcze bardziej sprzecznością z mojem usposobieniem. Ach! ja chętniéj byłabym widziała chmurne niebo i grzmot huczący, bo wtedy swobodniéj płakaćbym mogła.

Cztery miesiące minęły od dnia mego ślubu. Takiż sam był pierwszy poranek witający mię w własnym domu, jasny, pogodny, rozkoszny. Ale szczęście moje, nadzieja piękniejszéj barwy od majowéj zieleni, jakże pobladły i zmieniły się w tym krótkim przeciągu czasu! Spojrzałam na pożółkłe liście i pochylone główki kwiatów—i zapłakałam znowu, w myśli porównywając się do nich.

Ogród był duży, cienista ulica kasztanami wysadzona prowadziła do furtki wychodzącej na drogę. Niedaleko furtki stała kamienna ławeczka; doszłam do niéj bezwiednie i usiadłam znużona wewnętrzną walką. Po chwili usłyszałam tentent szybko biegnącego konia. Zerwałam się, sądząc że zobaczę Jarosława, ale wkrótce poznałam omyłkę. Elegancko przybrany jeździec, dosyć niezgrabnie kierował ślicznym koniem, który dawał oznaki zniecierpliwienia. Roztargnionym wzrokiem powiodłam za przyjeżdżającym, który spostrzegłszy mię, skłonił się grzecznie kapeluszem, i oddawszy jadącemu za nim w niegustownej liberji furmanowi swego konia, sam pospieszył przez furtkę do ogrodu. Dopiero gdy stanął przedemną, poznałam Amilkara.

— Dzień dobry!—zaczął—korzystasz pani z pięknych poranków kończącego się lata, i ja miałem takiż zamiar. Wrażliwa dusza młodziuchnéj panienki, i zapalona imaginacja dwudziestoletniego młodzieńca, może długie chwile marzyłyby o téj jedności sympatycznej myśli ale pani należysz do liczby kobiet praktycznych, i pewno nie tracisz czasu na próżne marzenia. A i jam dawno skończył lat dwadzieścia!.. Szkoda!.

— Czego? spytałam bezmyślnie.

— Szkoda marzeń których wskrzesić nie można, dni wczorajszych, kwiatu fjołka, śpiewu słowika i uczuć straconych lub zmarnowanych!.. mówił tęsknie pan Amilkar, oparty w pięknéj postawie o drzewo.

Słowa jego wyrażały zupełnie uczucie napełniające mi piersi. Spuściłam oczy bo łza na nich zawisła. Dostrzegł mój ruch Amilkar i zmieniając ton zawołał:

— Pani płacze? tak, pani płakałaś przed chwilą!.

Powtórzył słowa wymówione przez Jarołąwa owego pamiętnego wieczoru, gdy z rozpaczy że on się żeni, o mało nie utopiłam się w rzece. Ale jakiż różny był głos mówiący też same wyrazy!.. Różnica ta uderzyła mię, zajęła, i choć wspomnienie smutne wywołało westnienie. Łzy obeschły, a ja odpowiedziałam nieco zimno.

— Nie! to promień słońca olśnił moje oczy!..

— Niewdzięczny! niedobry promień!..wywołał łezką przejrzystszą od kropli rosy na kwiatku czarownej róży. Szczęśliwy, że dla niego, z jego przyczyny płynęły także łzy droższe od djamentów...

Podczas jego mowy pomyślałam także: niewdzięczny promień! i przyszły mi na myśl słowa Marjana. „Ty będziesz dla niéj słońcem, mój drogi!“ Westchnęłam znowu, moje słońce zaćmiło się i przygasło, a z niem światło i ciepło!..

— Pan podwójne słowom mojem nadaje znaczenie, odpowiedziałam nakoniec Amilkarowi kryjąc wzruszenie, a jednak mają one tylko jedną stronę bez żadnéj przenośni!

— Byłoby to zuchwalstwem, gdybym pragnął już dziś uzyskać zwierzenie pani i podzielać jej smutki. Proszę tylko wierzyć, że w razie jeśliby pani zaszczyciła mię swem zaufaniem, nie zawiódł bym jej z pewnością!.. I dziś i zawsze znajdziesz mię pani gotowym na jedno jej skinienie poświęcić wszystko. Rozporządzaj mną tylko... rzekł Amilkar z zapałem, który mię nieco zadziwił.

— Masz pan coś z natury średniowiecznych rycerzy walczących w szrankach.

— O cześć damy swego serca! dodał szybko. Pozwól mi pani być twym rycerzem, i aby uzupełnić dawne zwyczaje, daj mi pani ten kwiatek, abym miał godło i kolor pod którym walczyć pragnę!..

Zapóźno poznałam, że rozmowa przybrała obrót niestosowny. Lecz ani spostrzegłam, kiedy Amilkar wyjął z mojéj dłoni kwiat róży zerwany bezwiednie prawie, i w zamian złożył na niéj gorący pocałunek.

W téj chwili między drzewami naprzeciw ławeczki zobaczyłam Jarosława. Stał chwilkę, blady, z ustami zaciśniętemi i potem nagle zwrócił się ku dworowi.

Zmięszana, smutna i niechętna, nie mogłam przecież nie być wdzięczną Amilkarowi, za okazanie mi tyle bezinteresownéj przyjaźni. Myślałam coby mu powiedzieć, a on tymczasem przypinał kwiat do boku Nagle twarz jego zabawnie się skrzywiła i podniósł palce do ust. Duży kolec utkwił w nim i krew się pokazała.

Mimowolnie uśmiechnęłam się, patrząc jak ten nowy rycerz starannie oglądał swój różowy paluszek.

— Zapomniałeś pan, że róża ma kolce!—rzekłam.

— Les extrêmes se touchent, często i boleść bywa roskoszą, odparł z wymuszonym uśmiechem, ale widocznie niezadowolniony z małego zdarzenia.

— A jednak powinienbym to wziąść za dobrą wróżbę. U plemion dzikich, przy zawarciu przyjaźni rozraniają sobie wzajem ciało bronią przyjaciela, dla utrwalenia przyjaźni. Jam postąpił podobnie, krew ta oznacza wiele dobrego wyrzekł Amilkar wesoło. A teraz żegnam panią, do widzenia zapewne w Drzewnéj lub Woli.

— Dawno pan byłeś w Drzewnej?—jakże się ma i co porabia Dosia?—spytałam.

— Pani Dorota zdrowa, tylko nieco smutna, wyrzekł jakoś znacząco.

— Smutna?—czyż Dosia umie być smutną?

— O ręczę pani, że w niektórych razach bywa nawet bardzo smutną, lubo trwa to dość krótko, dopóki ją znów coś nie pocieszy.

— Nie przypuszczałam, nie znam dobrze charakteru Dosi, odrzekłam w roztargnieniu.

— Jarosław znając panią Dorotę tak dobrze, może dostarczyć szczegółów, wymówił z uśmiechem Amilkar.

— Jarosław?.. powtórzyłam—i dziwna myśl błysnęła w méj głowie. Nie powiedziałam nic więcéj i pożegnawszy gościa wracałam ku domowi, ale słyszałam ciągle te słowa, że Jarosław zna tak dobrze, Dosię, a ona dopóki ją coś nie pocieszy bywa bardzo smutna!..

Te wyrazy wkrótce złożyły jeden frazes, na którego znaczenie zadrżałam febrycznie. Mógłby to być? Czyżby Jarosław kochał Dosię.

On miałby kochać inną! o! ta myśl zdolna była przywieść mię do szaleństwa.

Weszłam w najodleglejszą ulicę ogrodu, i tam rozmyślałam znowu.

— To być może—szeptał mi głos tajemniczy, nielitośny, on ją kocha, a dla niepoznaki ożenił się z tobą. Alež czemuż z nią się nie ożenił?—pytałam sama siebie i nadzieja wstępowała w moje serce.

— A list dzisiejszy, a odmowa pojechania do Drzewnéj?—mówiła wzmagająca się zazdrość.

Po wielu przypuszczeniach—postanowiłam śledzić i badać. Okropną przybrałam rolę, z rozpaczą wystawiałam sobie brzydotę moich podejrzeń,—jednak stniały one i jak pijawki ssały mi krew ciepłą z serca. Z gorączką wewnętrzną wróciłam do pokoju. Jarosław siedział z książką w ręku, ja przeszłam obojętnie kierując się do swego pokoju. Widziałam jak pochylił się bardziéj aby twarz zasłonić. Kochałam go w téj chwili silniéj może niż kiedy, bo to było szczęście które obawiałam się utracić. Byłabym pół życia oddała za jeden uścisk, jeden pocałunek ust jego—a jednak przebiegłam szybko pokój w którym on zostawał, gnana połączonem uczuciem bólu i zazdrości!..

(d. c. n.)

TRICOTRIN

PRZEZ

OUIDA

STUDJUM Z LITERATURY ANGIELSKIEJ

PRZEZ

Walerją Marrené.

(Dalszy ciąg.)

Książe spoglądał na niego w milczeniu, twarz jego była bladą, bluza zmoczona deszczem i rosą, a w oczach tkwił ból niewymowny. Była w nim jakaś tłumiona gwałtowność; dla tego też książe powstał natychmiast i odparł krótko:

— Przyślę ją tu zaraz.

Wyszedł, a w kilka chwil drzwi te otwarły się znowu i z żywym skokiem ukazała się w nich dziewczyna. Zdawało się, że razem z nią blask i światło ukazało się w pokoju; trzymała ciągle swego Arlekina w ręku i z krzykiem dziecinnéj radości rzuciła się do opiekuna. On pochwycił ją z niepohamowaną gwałtownością i wycisnął na jéj licach palące pocałunki; w tem nagle ramiona jego się roztwarły, odsunął ją od siebie. Przypomniał sobie, że nie miał już prawa do jéj pieszczot, że mogłaby się za nie rumienić, że usta te w dziewiczéj czystości należeć powinny do szczęśliwego męża i kochanka.

Ale ona w niewinności myśli, śmiała się po dawnemu, uścisk jego rozrzucił jéj włosy, ubranie splamiło się od jego bluzy, Arlekin połamał się w tem gwałtownem objęciu.

— Ah! mój biedny Arlekin, zawołała, zepsułeś go, a on kosztował wczoraj tysiąc franków.

Niepohamowanym ruchem, wyrwał jéj z rąk zabawkę i rzucił na ziemię.

— Ty tak mnie przyjmujesz?

Ona co nigdy dotąd nie słyszała tak gorzkiéj, palącéj namiętności w jego głosie, stała milcząca, przerażona, spoglądając na niego szeroko otwartemi oczyma. Nie pojmowała co mu złego zrobiła.

Nie gniewaj się, szepnęła tylko ten Arlekin bawił mnie bardzo, a teraz połamał się.

Te proste słowa oprzytomniły go, schylił się, podniósł lalkę, która rywalizowała z nim w jéj sercu.

Głos jego drżał gdy przemówił, ale mówił łagodnie.

Przebacz mnie Vivo, nie miałem prawa zepsuć twojéj zabawki, tém bardziéj że nie posiadam tysiąca franków by ją odkupić. Ale bądź spokojną, umiem obchodzić się z temi rzeczami, to ci ją naprawię.

— Oh! alboż ja dbam o nią, zawołała, książe kupi mi drugą. Bałam się tylko czym cię nie rozgniewała,—takam szczęśliwa że cię widzę.

Nieodpowiedział nic, głowa jego była spuszczoną. Powitanie to było mu przykre; ona już nauczyła się zwracać do innego, bogatszego, o spełnienie swoich dziecinnych zachceń.

Viva spoglądała na niego niespokojnie, nie chciała go zmartwić, ale czuła się obrażoną jego szczególnem obejściem; przez te trzy miesiące przekonała się dobrowolnie, że jest istotą piękną do oczarowania, że wszyscy winni byli pokłony.

— Czy pamiętasz Vivo, wyrzekł Tricotrin po długiem milczeniu, że dzień ten jest ostatnim który masz tu przepędzić.

Wzdrygnęła się, wspomnienie to napełniło ją trwogą.

— Zapomniałam o tém, szepnęła.

— I żałujesz tego?

Spuściła oczy, usta jéj drżały, ale nie mówiła nic.

— Byłaś szczęśliwą tutaj? spytał znowu.

— Oh! zawołała, to mało powiedzieć szczęśliwą.

I wyliczała wszystkie dary któremi ją obsypano, przyjemności jakich używała i pochlebstwa powtarzane wkoło.

— A kto ciebie kochał,—kogo kochałaś tutaj? pytał Tricotrin.

Oh! odparła: nikt,—ale mniejsza o to, wszystko tu tak piękne.

— Nauki świata szybko przylgnęły do ciebie, szepnął.

Rozmowa ta trwała długo, wszystkie instynkta i pragnienia ciągnęły Vivę do tego nowego życia, przecież dziecinnym samolubnym sposobem kochała go i żałowała téj nieskończonéj miłości którą odrzucała. Raniła go każdem słowem, każdem wspomnieniem, a dojrzawszy ból sprawiony, pytała z równą szczerością i żalem.

— Ty gniewasz się na mnie?

Chciała mówić daléj, ale on ją zatrzymał, a w głosie jego drgało wzruszenie jakiego nigdy nie dostrzegła w nim pierwéj.

— Dziecko, wyrzekł, żebyś ty stała się nawet kiedyś ostatnią z kobiet, jabym ci jeszcze przebaczył; czyż nie możesz pojąć nawet, co to jest miłość.

Spojrzała na niego z rodzajem trwogi. O takiem uczuciu nie miała wyobrażenia, ale rozumiała zarazem, jak mało godną była tego bozkiego daru.

I jak gdyby oceniając nagle z całą siłą ślepotę swoją, wyciągnęła do niego ręce, wołając:

— Czyż ktokolwiek kiedy będzie kochał mnie tak jak ty!

Przez chwilę uczucie to zwyciężyło wszystkie nizkie pierwiastki jéj natury, zrozumiała, że jakkolwiek długiém mogło być jéj życie, nie spotka w niem po raz drugi takiéj miłości.

Szalona nadzieja zbudziła się w iego piersi, pochwycił jéj ręce i cisnął je z konwulsyjną siłą.

— Czy ta miłość wystarczyłaby ci Vivo, żebyś była zemną zawsze, wszędzie nierozdzielną, czy wzdychałabyś jeszcze do bogactwa i wielkości,

Wzrok jego wpił się w jéj twarz z gorączkową tęsknotą, z namiętném pragnieniem odpowiedzi. Wahała się przez chwilę spoglądając na niego zdziwiona, nie rozumiejąc nawet doniosłości pytania.

— Ja nie wiem, odparła drżącym głosem, bo kochała go bardzo—po swojemu, chociaż dla niego ten rodzaj uczucia okrutniejszym był od nienawiści; kiedy jestem z tobą czuję się szczęśliwą—tylko—tylko,—ja pragnę wielkości.

Opuścił jéj ręce i odwrócił się, nadzieja téj chwili zagasła.

To wszystko łatwem było do przewidzenia; nowe życie spełniające wszystkie marzenia dziecka, pochwyciło ją swoim prądem niepowrotnie. Wychowana w pieszczotach i miłości nieumiała ich ocenić, dziwić jéj się nie można,—a jednak uparcie nasuwa się pytanie: gdyby Tricotrin nie krył przed nią tak starannie realnego życia, nie zasłaniał jéj oczów na złe, nie chronił od zetknięcia z ludźmi,—ona może byłaby inną, może potrafiłaby ocenić rozumnie to o czém sądziła z przeczucia tylko. Dziś wybór jéj nie mógł być wątpliwym, zanadto kochała samą siebie, by znalazło się w jéj sercu miejsce na inną miłość, długie lata miały upłynąć, zanim dziecię z nad brzegów Loary przetworzone w dumną patrycjuszkę, uczuło w piersi żywsze uczucie.

Viva osiągnęła wreszcie tę wielkość o któréj marzyła, książe Lira pokochał się w niéj i poślubił. Mąż tak samo jak Tricotrin nic nie otrzymał w zamian za swoje uczucie, daremnie wyniósł ją do godności swojéj, obsypał bogactwem, zgadywał jéj myśli i uprzedzał chęci, ona nie rzuciła wprawdzie hańby na jego siwe włosy, ale nie płaciła mu sercem za serce. Bawiła się, używała świata, wzbudzała w koło sznur uwielbień, ćmiła wszystkie kobiety blaskiem piękności i blaskiem bogactwa, w czasie kiedy książe cierpiał i tłumił boleść by nie mieszać jéj wesela. Aż wreszcie umarł w czasie gdy ona tańczyła, zostawiając jéj w spuściznie wielkie tytuły, olbrzymi majątek i świat cały pochylony do jéj stóp.

A Tricotrin? On przez trzy lata, na skale bitéj falami oceanu, walczył z szalonemi żywiołami, ratując tonących i pracując nad nawróceniem jednego zbłąkanego człowieka. Straszny ból wymagał heroicznego lekarstwa; on nie poddawał się żalowi, nie lubował w cierpieniu, walczył z niem jak to czyni każda zdrowa natura, by odrzucić precz ten pierwiastek rozkładu. Czy zmógł go jednak? dalsza część powieści każe nam o tém wątpić. Bądź jak bądź, prowadził daléj swoje pracowite użyteczne życie, wspomagając bliźnich i dobrze czyniąc.

Viva w chwili rozstania z nim, wyrzekła:

— Obym umarła raczéj, niż zapomniała o tobie.

On słysząc to uśmiechnął się tylko, wiedział dobrze przecież co znaczy pamięć takich pięknych, próżnych, samolubnych istot,—i miał słuszność. Z początku listy jéj do niego były częste, gwałtowne, pełne serca, daléj listy stawały się rzadsze, krótsze, aż wreszcie ustały zupełnie.

Po śmierci księcia, życie Vivy stało się jednem pasmem szalonych uciech, ona zapomniała zupełnie czem była kiedyś, tak dalece iż nie pamiętała więcéj że są ludzie bez chleba i dachu którym jedna okruszyna spadła z jéj stołów uratowałaby życie, lud otaczający jéj pałac na południu Francji, spoglądał na nią z podziwem ale bez miłości; za cóżby miał ją kochać? nie miała czasu na dobroczynność, a w jéj imieniu służba popełniała zdzierstwa, rządcy jéj bez miłosierdzia byli dla biednych, a skargi doszły do uszów Tricotrina, który z daleka nie przestawał czuwać nad swoją wychowanką.

Pe latach wielu, w sam dzień Nowego Roku zjawia się znowu w pałacu księżnéj Lira i żąda się z nią widzieć.

Usłyszawszy z ust kamerdynera jego nazwisko, podniosła lekko głowę, na twarzy jéj przesunął się cień jakiś niechęci i jeszcze innego uczucia, którego niepodobna było określić, ale spokojnie kazała go dopuścić do siebie.

Pierwsze jéj wrażenie było wrażeniem wstydu; zawiniła tak bardzo przeciw niemu, jednak wrodzona szlachetność zbudziła się w niéj wreszcie.

On przez chwilę zasłonił oczy ręką, jakby go słońce olśniło, potem przystąpił i wziął w swoje jéj dłonie, wymawiając to jedno słowo;

Viva.

Ona dumna, w całym majestacie bogactwa, wdzięków, znaczenia, zadrżała słysząc to imie; ono przywodziło jéj na myśl przeszłość którą chciała pogrzebać w zapomnieniu, tę przeszłość, co była jedyną chmurą i goryczą w jéj słonecznem życiu,—ale imie to budziło także w jéj sercu pamięć pierwszych niewinnych dni dzieciństwa, i tego wielkiego uczucia któremu sprzeniewierzyła się tak haniebnie.

Przecież była zimną w obec niego, choć wiedziała, że to była nikczemność przejęta niecierpliwością i fałszywą dumą.

Lata minęły od czasu ich rozstania, a przez ten czas potęga świata i jad próżności wpiły się głęboko w czyste złoto jéj natury.

— Tak dawno nie widzieliśmy się, wyrzekła, wysuwając lekko ręce z jego uścisku.

— Nie było tego potrzeby, odparł Tricotrin, byłbym zjawił się dawno gdybym był upragniony.

Zaczęła mu grzecznie zaprzeczać, ze światowym wdziękiem,—ale on zatrzymał jéj słowa na ustach ruchem pełnym dawnéj powagi.

— Czy sądzisz, spytał, że przestałem znać twoje serce, lepiéj niż ty znasz go sama? Zapomniałaś o mnie,—to było koniecznem, nieuniknioném.

Spuściła powieki, czoło jéj spłonęło, wszechwładna kobieta czuła się poniżoną we własnych oczach.

— Masz mnie za bardzo nikczemną, szepnęła.

— Nikczemną? nie, odparł, tylko za prawdziwą kobietę. Czyż nie powiedziałem przed laty, co będzie z tobą i ze mną. Znałem świat—tyś go nie znała—ale ja cię nie potępiam.

Słowa jego stały się miękkie, a oczy gorzały wszechpotężnem uczuciem, silném jak śmierć sama, w którem mięszała się miłość ojca, brata, męża, kochanka.

Ale uczucie to w życiu i śmierci miało pozostać niewyznaném.

Lica jéj zapałały rumieńcem, słowa jego i głos poruszały uśpione światy w jéj sercu, a przecież gorzko jéj było pomyśleć, że człowiek ten wiedział czem ona była.

Spoglądał na nią, odgadując jéj uczucia i podziwiając zmianę jaką lata jéj przyniosły. Rozwinęła się jak zwrotnikowa roślina w właściwéj atmosferze.

Dziewczyna prosta jak ideał poety, Gretchen, przemieniła się w kobietę nieporównanie piękną, znającą potęgę swoją, niby Aspazja starożytna, czująca że należy jéj się panowanie.

Spoglądał na nią długo, aż wykrzyknął z wyrazem dojmującego bólu.

— Wielki Boże! jakżeś się zmieniła.

Uśmiechnęła się znacząco, wyniośle, niedbale. Wiedziała o tém dobrze i dumną była z téj odmiany, która jemu wydawała się gorzką.

Więc nie zrozumiała, albo niezauważyła cierpienia jakie mu ta zmiana sprawiała. Wiedziała dobrze, że on ją kochał, ale nie śniło jéj się nawet o tem, jaka to była miłość. Męczarnia jego nie miała nawet téj nagrody by ona ją rozumiała.

— Naturalnie żem się zmieniła, odparła lekko, mnie saméj zdaje się to zaledwie możliwem, bym ja była tem dzieckiem. którąś znał i wspomagał.

I znowu w Vivie ważą się dwie natury, konieczne w niéj by usprawiedliwić miłość Tricotrina. Dziś jako kobieta mogła ocenić to, co niebacznie odrzuciła dzieckiem jeszcze, ale dziś ona kochała za nadto samą siebie, panować i błyszczeć stało się dla niéj potrzebą życia. On ma odwagę mówić jéj gorzkie prawdy, i pod jego głosem zawsze budzą się dobre wspomnienia i dobre instynkta téj kobiety. Gdyby ona była jego, byłaby dobrą zawsze, szlachetną zawsze, a tem samem stokroć szczęśliwszą niż w próżni swego błyszczącego życia.

Tymczasem dwie ich egzystencje biegną każda swoją drogą, pomiędzy wielką panią a włóczęgą nie może być jawnych stosunków,—przecież wypadek zbliża ich czasami, wówczas przechodzą koło siebie jak obcy.

Zimna, dumna, bez serca księżna de Lira, pokochała wreszcie i pokochała brata Tricotrin'a, lorda Estmere. Jest to indywidualność wysoka i szlachetna, przecież przepaść cała rozdziela go od Tricotrin'a. Jakim sposobem serce kobiety pomiędzy nimi dwoma Estmer'a wybrać może, jest to jedna z tych zagadek, których tyle spotykamy nie tylko w powieściach ale i w rzeczywistości.

Estmere przecierpiał wiele w domowem życiu; zdrada żony rzuciła kir na jego serce, uczyniła go chłodnym, nieufnym, niedowierzającym kobiecym uśmiechom, przecież Viva potrafiła zwyciężyć go, w końcu lord ofiaruje jéj swą rękę.

Jednak księżna de Lira niema odwagi odkryć mu swojéj przeszłości duma i wstyd fałszywy zamyka jéj usta. Lęka się by jéj nie odstąpił arystokratyczny kochanek, dla tego że była wychowanką włóczęgi, i że raz stopa jéj przestąpiła progi kurtyzanki Coriolis.Po raz pierwszy serce jéj drży i lęka się, bo po raz pierwszy uderzyło miłością.

Ale tutaj świetna jéj gwiazda bledną zaczyna. Estmere ma syna z pierwszego małżeństwa lorda Chaurallon, który próbował uwieść Vivę w jéj pierwszéj młodości; on ujrzawszy niespodzianie narzeczoną ojca, poznaje w niéj śliczne dziecko z nad brzegów Loary. Lord Chaurallon nienawidzi ojca, nie życzy sobie wcale jego powtórnych związków, więc zebrawszy wszystkie potrzebne dowody, śledzi przeszłość księżnéj de Lira i dowiaduje się więcéj jeszcze, że ona jest córką Coriolis porzuconą przez nią w dzieciństwie, i uzbrojony tém wszystkiem staje pomiędzy nią a Estmerem. Zimna kobieta została przybita tém odkryciem, a serce jéj śmiertelnie zranione; lord Estmere brzydzący się fałszem, odwrócił się z pogardą od téj co zataiła mu swe pochodzenie. Raz zdradzony, pomimo całéj miłości nie mógł się odważyć poślubić kobietę, która względem niego popełniła kłamstwo; to jedno stanęło pomiędzy niemi, reszta była nieszczęściem ale nie winą. Viva poniżona, odtrącona przez Estmera, w nieszczęściu szuka Tricotrin'a. Z gromów, które spadły na nią, jeden dotknął ją najsrożéj, jednemu uwierzyć nie chciała; ona miała być córką Coriolis, ona co sądziła się dzieckiem sylfów lub królów.

(d. c. n.)

SPOTKANIE U GWIAZDY

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE,

Leona Gozlan

(tłomaczona z francuzkiego).

(Dalszy ciąg).

CLIFFORD. Wszyscy panię nazywają gwiazdą.

P. PERCEVAL. Gwiazdą!

MONTGOMERY. O! pozwól pani nadać sobie tę nazwę... czyż nie jesteś pierwszorzędną gwiazdą jaśniejącą w zachwycającéj krainie sztuki?

CLIFFORD. Oklaski i zaszczyty, jakie tu panię oczekują, każą ci zapomnieć żeś opuściła Paryż.

P. PERCEVAL. Lękam się, czy moja sława nie jest większą niż talent.

MONTGOMERY. Pani!

P. PERCEVAL. Paryż często się myli.

CLIFFORD, (z żywością) Sądząc polityków, często.. sądząc artystów, nigdy!...

MONTGOMERY. Bądź pani pewną, że jutrzejsze twoje powodzenie będzie jeszcze świetniejsze jak dziś.

CLIFFORD. Mówiąc o świetnem przyjęciu, o którem zarówno ja jak i lord Montgomery możemy panią zapewnić, oryginalny pomysł przyszedł mi do głowy.

P. PERCEVAL. Uwielbiam oryginalne pomysły... Odkryj nam twój mylordzie. (prosi Clifforda i Montgomery aby usiedli.)

MONTGOMERY, (siadając.) Cóż to za pomysł?

CLIFFORD. Jutro wystąpisz pani przed tak świetnem zebraniem, jakiem dziś już Paryż poszczycić się nie może,—królowa, książęta krwi, dwór, parowie, dwa tysiące samych utytułowanych widzów.

MONTGOMERY. Wszystkie miejsca już zajęte.

CLIFFORD. Wyjąwszy moje, jeżli łaska.

MONTGOMERY. Nie wyłączając nawet twego, mylordzie.

CLIFFORD. To są żarty.

P. PERCEVAL. Bez wątpienia.... jakto, wszystkie bilety miałyby już być rozkupione?

MONTGOMERY. Daję słowo honoru, że kazałem zakupić wszystkie miejsca na przedstawienie jutrzejsze.

P. PERCEVAL. Pan?

MONTGOMERY. Tak, cały teatr do mnie należy.

P. PERCEVAL. Ależ to despotyzm, mylordzie.

MONTGOMERY. Czasami i despotyzm ma swoją dobrą stronę, jeśli posługujemy się nim dla dobra innych, a ja jedynie w celu zapewnienia pani świetnego trymfu zakupiłem wszystkie miejca. Może to właśnie twój oryginalny pomysł, mylordzie?

CLIFFORD, (żywo dotknięty.) Nie panie... mój jest jeszcze dziwniejszy. Muszę jednak prosić pana o ustąpienie mi jednego biletu, ponieważ...

MONTGOMERY. Jako dowód rzadkiéj przyjaźni z méj strony..... przyrzekam go panu.

P. PERCEVAL do CLIFFORDA. Ależ twój pomysł mylordzie. Jutro, mówiłeś, mam wystąpić przed tak dostojnem zgromadzeniem....

CLIFFORD. Tak!.. dwa tysiące tytułowanych osób mających powitać panią grzmotem oklasków, z niewysłowioną niecierpliwością oczekiwać będą twego ukazania się na scenie.

MONTGOMERY. Dotąd, milordzie, nie mogę się dopatrzeć owéj wielkiéj oryginalności twego pomysłu.

CLIFFORD. Kapitanie, strzelasz przed wypowiedzeniem wojny, to się nie zgadza ze zwyczajami ludów ucywilizowanych.... proszę o cierpliwość...

P. PERCEVAL. Tak, czekajmy.

CLIFFORD. Wtenczas, ty pani powiesz sobie za kulisami: co za życie! co za sława!... Jestem młoda, piękna, za kilka chwil, za kilka minut, przyjmą mnie grzmotem oklasków i zarzucą kwiatami. A więc gdyby w téj chwili ten, którego kochasz...

MONTGOMERY, (z żywością) mylordzie, takie przypuszczenie...

CLIFFORD. Cóż w tem dziwnego.... pani przecie może kochać.

P. PERCEVAL, (z uśmiechem) A nawet i niekochać; ale kończ pan proszę, mów jak gdybym kochała.

CLIFFORD. Więc gdyby ten, któregobyś kochała powiedział ci w téj uroczystéj chwili, pani jeśli mnie kochasz, daj mi tego dowód głośny, niesłychany, bezprzykładny: nie występuj dziś, wyrzecz się świetnych oklasków, opuść teatr w téj chwili... tak, w téj chwili!..

P. PERCEVAL. Ale publiczność, publiczność mylordzie.

CLIFFORD. Co tam publiczność!...

P. PERCEVAL. Ale dwór cały.

MONTGOMERY. Ale królowa, która oczekuje...

CLIFFORD. Nie zważałbym na nic. Jeżeli mnie kochasz, powiedziałbym jéj, porzuć, wyrzecz się wszystkiego, wyjdźmy razem niepostrzeżeni, siadajmy

do pojazdu... opuśćmy Londyn i Anglję.... Tak, w jednéj chwili ze szczytu świetności i sławy, zstąp dla mnie w otchłań miłości....

MONTGOMERY. Szaleństwo, szaleństwo!

CLIFFORD. Szaleństwo miłości.

MONTGOMERY. Mylordzie; nie ma na świecie kobiety zdolnéj zrobić takie poświęcenie.

P. PERCEVAL. I ja tak sądzę.

CLIFFORD. Jednak gdybym był kochany przez sławną artystkę, chciałbym wystawić ją na tę szczególniejszą próbę.

MONTGOMERY. Próba niebezpieczna i bezużyteczna.

P. PERCEVAL, (wstając i spoglądając na zegar) Czy podobna! druga dochodzi (Bierze krzesło i stawia z prawéj strony drzwi głównych.)

MOMTGOMERY, (witając na stronie) To się ma rozumieć, że trzeba nam się zabierać (postrzegłszy że Clifford nie wstał. Głośno) Mylordzie, czy dobrze idzie twój zegarek?

CLIFFORD, (siedząc wyjmuje zegarek) Jak słońce, sama druga. (Montgomery siada.) Przysięgam, że gdybym kochał sławną artystkę, a gdybym jeszcze miał rywala, nie odstąpiłbym od mego oryginalnego zamiaru...

P. PERCEVAL, (na stronie, widząc ich siedzących). Czyby mnie nie zrozumieli?....

MONTGOMERY. Jeden powód więcéj, aby się nie udał.... gdyż nawzajem twój rywal powiedziałby sławnéj artystce, pani, jeżli mnie kochasz, odrzuć te szalone wymagania, wystąp na scenę.

CLIFFORD, (wstając i odpychając fotel.) Do niéjby należał wybór między tak sprzecznemi żądaniami dwóch współzalotników....

P. PERCEVAL, (na stronie.) Aha, zaczynam pojmować. (zbliża się do środka.)

MONTGOMERY, (wstając.) Gdyby wybór zależał od pani? (całując ją w rękę.)

P. PERCEVAL, (spoglądając na nich kolejno.) A jeżlibym nie chciała żadnego przywieść do rozpaczy?

MONTGOMERY, (ze zdumnieniem, spoglądając na Clifforda.) Nie myśleliśmy o tem.

CLIFFORD, (także.) Tak, nie przyszło nam to na myśl. (Montgomery i Clifford postępują w głąb sceny; nareszcie wszyscy parskają głośnym śmiechem.

P. PERCEVAL, (na stronie.) Bardzo to dobrze, ale ponieważ nie chcą odejść... (głośno) Wybaczcie panowie, ale my artyści, kiedy wracamy z teatru po kilku godzinach wzruszeń i utrudzenia.... mamy zwyczaj.... (na stronie.) Nieruchomi jak skała (głośno) Mamy zwyczaj..

CLIFFORD. Ah, zapewnie jeść kolacyę.

MOMTGOMERY. Bez ceremonii, każ pani dawać do stołu.

P. PERCEVAL, (na stronie.) Nie zrozumieli mnie! (głośno) Więc ponieważ panowie pozwalacie...

MONTGOMERY. Oh zezwalamy.... prosimy.... nawet gdybym śmiała.

CLIFFORD. Nawet gdybyśmy śmieli....

MONTGOMERY, (na stronie, zbliżając się do kominka.) Jakże ten Clifford jest niedelikatny!

CLIFFORD, (na stronie.) Jeśli myśli że będzie z nią wieczerzał sam na sam!....

P. PERCEVAL, (dzwoni przy drzwiach w głębi.) Panowie, nigdy nie spodziewałam się takiego zaszczytu. (Floryna wchodzi.) Niech dają kolacyę... na trzy osoby. (Floryna wychodzi.)

MONTGOMERY. Bardzoby się bez niego obeszło.

CLIFFORD, (na stronie.) Doprawdy ten Montgomery jest tak natrętny... ani myśli odejść, choć jego obecność jest zbyteczną.

P. PERCEVAL, (na stronie.) No, cóż robić, jutro rano wstanę godzinę później (siada do fortepianu i gra), (głośno) raczycie panowie poprzestać na tem co można dostać w hotelu.

CLIFFORD, (oparty o fortepian.) Ależ doskonale dają w hotelu Buckingham.

MONTGOMERY, (oparty o poręcz krzesła, na którem siedzi P. Perceval.) Obiadujemy tu czasem.

P. PERCEVAL. Kiedy tak, tem lepiéj! (Gra na fortepianie, Filip i lokaje lordów wnoszą stół nakryty i stawiają na środku z przodu sceny.)

CLIFFORD. Milordzie, sądziłam, że tak późno obiadując, nie jadasz kolacyi.

MONTGOMERY. Ja? cóż znowu? Ale ty mylordzie, co masz tak delikatny żołądek, powinienbyś się wystrzegać jeść w nocy... z obawy niestrawności..... (przechodzi na prawo.)

CLIFFORD. Ślicznie dziękuję za przestrogę.... ale jestem zupełnie zdrów, często nawet jadam dwie kolacyje.

P. PERCEVAL Proszę panów do stołu! (Clifford podaje rękę p. Perceval, prowadzi do stołu: ona siada w środku, Clifford z lewéj, Montgomery z prawéj strony.)

MONTGOMERY i CLIFFORD. A więc siadajmy! (Wszyscy troje siadają.)

CLIFFORD. Nie skończyłem wykładu mojego systematu,

MONTGOMERY. Jakiego?

CLIFFORD. Systematu wielkiego poświęcenia,

MONTGOMERY. Ah! mój Boże! dość już o tem.

P. PERCEVAL. Jakto? Sławna artystka porzuca swój zawód, wyrzeka się sławy, odjeżdża z panem, i jeszcze nie koniec?...

CLIFFORD. Za pozwoleniem! Nie dla nędznéj jakiéj lepianki pozbawiłbym ją upojenia i blasku otaczającego ją na scenie, pojechalibyśmy do mego pałacu.

P. PERCEVAL. Ah! masz pałac, mylordzie!..

CLIFFORD (niedbale). Przepyszny.

MONTGOMERY (znacząco). Graniczy z moim.

P. PERCEVAL, (złośliwie). Więc i mylord masz pałac?

MONTGOMERY, (poważnie). Ostatni król zaszczycił go swoją obecnością.

CLIFFORD. Mój jest otoczony parkiem z sosen i brzoz płaczących.

P. PERCEVAL. Jakże to miło marzyć w pięknym lasku.

MONTGOMERY. Mój stoi nad brzegiem dwóch jezior...

P. PERCEVAL. Dwóch jezior! a ileż to ludzi nie ma ani jednego.

CLIFFORD, (biorąc jej rękę). Przepędzilibyśmy w nim całe lato razem.

MONTGOMERY, (naśladując go). Spędzilibyśmy w nim całe życie.

P. PERCEVAL (na stronie). Oto byłoby więcéj jak jedno lato! (Wstaje biorąc szklankę). Za wasze zdrowie, panowie!.. (lordowie wstają) i jeźli raczycie pozwolić, za moje świetne powodzenie jutrzejsze! (pije.) Mogłabym powiedzieć dzisiejsze... bo już trzecia godzina.. Panowie, trzecia godzina! już dnieje. (Przechodzi na lewo i zbliża się do okna.)

CLIFFORD, (stojąc przy stole do Montgomery który siedzi.) Czy dobrze idzie twój zegarek, mylordzie?

MONTGOMERY, (siedząc wyjmuje zegarek.) Tak jak księżyc. Trzecia godzina. (Clifford siada.)

P. PERCEVAL (na stronie.) No, już po kolacji, może przecie sobie pójdą... nic ich nie wstrzymuje.... (Odwraca się i wydaje okrzyk zadziwienia, widząc jak Clif. i Mont. nalewają kieliszek, jeden za drugim, i piją jak najspokojniéj.)

Ah! doprawdy, to zaczyna być nadto oryginalne... zmuszają mnie do ostateczności.... (Zdejmuje kwiaty z głowy, kładzie na toalecie, i uważa jakie to zrobi wrażenie, Montgomery i Clifford spoglądają na nią ukradkiem, nalewają kieliszki i piją spokojnie.) Nic!... (Zdejmuje mantylkę koronkową i ściąga rękawiczki.) Jeszcze nic!... (kaszle aby ściągnąć na siebie uwagę i kolejno zdejmuje bransoletki, kolczyki, naszyjnik.) Wszystko nadaremnie, ależ to strach bierze...

CLIFFORD, (na stronie, stanowczo.) Nie wyjdę pierwszy, (pije).

MONTGOMERY, (na stronie.) Jeśli myśli że go tu zostawię!... (pije)

P. PERCEVAL (na stronie.) Nie mogę im przecie powiedzieć: idźcie już sobie! Ah! ostatnia nadzieja!... (Odpina klamerkę od paska, spogląda na lordów. którzy siedzą nieruchomi, zdejmuje pasek i widocznie zwija na palcu. Clifford i Montgomery wstają; Mont. zbliża się do kominka, a Clifford bierze swoje rękawiczki z fortepianu.) Nareszcie udało mi się:... wstają. Dzięki niebu! niemało mnie to kosztowało trudu.

CLIFFORD. Mylordzie, zdaje mi się, że dość daleko ztąd mieszkasz?

MONTGOMERY. I ty także mylordzie. Ale na cóż to pytanie?

CLIFFORD. Przez przychylność.... już jest późno.

P. PERCEVAL (żywo.) O tak, panowie i bardzo późno!

CLIFFORD. Złodzieje mogą cię napotkać w drodze...

MONTGOMERY, (zbliżając się do niego.) Złodzieje! (śmieje się) Cóż znowu złodzieje w Londynie oświetlonym jak wśród dnia.., i jeszcze w pojeździe!.. Ale podałeś mi doskonałą myśl, mylordzie, odeślę powóz. (Udaje się ku drzwiom.)

P. PERCEVAL (na stronie przestraszona) Co on mówi?... ah! to już nadto! (Dzwoni biorąc dzwonek z toalety...

MONTGOMERY. Albo może zechcesz nim odjechać, mylordzie.

P. PERCEVAL, (do Floryny która wchodzi.) Podaj mi pantofelki i nocny czepek. (Floryna zdziwiona pokazuje obecnych Lordów) (z niecierpliwością.)

Mówię, pantofelki i nocny czepek. (Floryna podnosi portierę i wchodzi do pokoju na prawo. Podczas jej wyjścia i następnéj rozmowy, dwóch lokai wynosi stół trzeci, stawia krzesła na swoje miejsca.) Zdaje się, teraz przecie powinni zrozumieć!

CLIFFORD, (do lorda Montgomery.) Masz więc zamiar....

MONTGOMERY. Miałem zamiar przepędzić noc w bliskości u jednego z moich krewnych.

P. PERCEVAL, (swobodniéjsza na stronie.) Ach! to co innego.

CLIFFORD. Natchnąłeś mnie tą samą myślą, mylordzie; i ja odeślę mój pojazd. Mam przyjaciela który mieszka o dwa kroki ztąd. (postępuje w głąb sceny.)

P. PERCEVAL, (niespokojna na stronie.) I on także? (głośno) Panowie, ja nie mam w Londynie ani krewnego ani przyjaciela, więc jestem zmuszona spać u siebie.

CLIFFORD. To nic złego (Floryna wraca z buduaru

i przynosi na ręku i w ręku różne przedmioty służące do toalety nocnéj, składa wszystko na fotelu.)

FLORYNA. Czy pani jeszcze ma co do rozkazania?

P. PERCEVAL. Nie! (Kładzie czepek nocny i pantofle.) Lubią oryginalność...... dobrze. niech się uraczą.

MONTGOMERY, (do Floryny wychodzącéj głównemi drzwiami.) Proszę oznajmić memu stangretowi żeby zaraz odjechał.

CLIFFORD, (do Floryny.) Proszę ten sam rozkaz powtórzyć mojemu (Floryna wychodzi.)

MONTGOMERY. Musimy więc pożegnać panią.

P. PERCEVAL. Miło mi bardzo pożegnać panów.

MONTGOMERY, (na stronie.) Jakże śliczna w tym nocnym czepeczku..... Istny portret Vateau wartujący 100,000 franków. (Postępuje ku drzwiom, kłaniając się p. Perceval.

CLIFFORD. Dobranoc pani. (na stronie) Jak nieporównanie piękna w pantofelkach.

P. PERCEVAL. Dobranoc panom.

MONTGOMERY i CLIFFORD. Do jutra.

P. PERCEVAL. Do jutra! (Muzyka gra, obaj lordowie wychodzą zwolna, w głębi zatrzymują się, kłaniają sobie, jeden idzie na lewo a drugi na prawo. P. Perceval chce wejść do sypialnego pokoju, ale zastanowiwszy się zatrzymuje się i mówi na stronie.) Muszę zobaczyć czy wyjdą. (Zbliża się do okna, oddychając swobodnie.) Ach! przecież poszli! (Wchodzi do swego pokoju, zabierając kasetkę w którą złożyła swe kosztowności. Po chwili Clifford otwiera jedne drzwi i wchodzi na palcach do pokoju; zdejmuje rękawiczki i kładzie na fortepianie: Montgomery otwiera drugie drzwi, wchodzi w kapeluszu i spostrzega Clifforda.)

Scena V.

CLIFFORD, MONTGOMERY.

CLIFFORD, (zmieszany i zakłopotany.) Zapomniałem rękawiczek.

MONTGOMERY. Ja kapelusza.

CLIFFORD. Miałeś pan więc dwa? (Postępuje kilka kroków i spotykają się przy drzwiach, tu zatrzymują sie nagle. Clifford patrzy oko w oku Montgomeremu, bierze go pod rękę, odprowadza kilku kroków i mówi mu cicho do lewego ucha.) Nie wiadomo ci czasem, mylordzie, czy papiery się podniosly?

MONTGOMERY (z zimną krwią, mówi mu także cicho do prawego ucha.) Owszem, mylordzie, spadły. (Spoglądają obydwa na drzwi pokoju P. Percewal.)

CLIFFORD. Sprzedaj.

MONTGOMERY (bierze go pod rękę i wyprowadzając). Kupuj! Chodź!

CLIFFORD, (usuwając się prędko.) Czy to ma być owacja czy rozkaz?... Uprzedzam cię, mylordzie, że nie lubię ani jednego ani drugiego.

MONTGOMERY. Mylordzie!

CLIFFORD. Jeśli taka jest moja wola, żeby ani przed panem ani razem z nim nie wyjść z tego mieszkania... zaręczam że jej nie zmienię.

MONTGOMERY. To osobliwsza, mylordzie! powiedziałeś słowo w słowo co miałem właśnie oznajmić ci. Jeśli taka jest moja wola, żeby ani przed panem ani z nim razem nie wyjść z tego hotelu, zaręczam że jej nie zmienię.

CLIFFORD, (stawiając kapelusz na toalecie.) Przekonamy się, czyja wola silniejsza.

MONTGOMERY, (stawiając kapelusz na fortepianie.) Dla mnie, to zadanie już rozwiązane, mylordzie. (Bierze fotel i siada w głębi z jednéj strony drzwi od pokoju panny Perceval, twarzą do publiczności.)

CLIFFORD (siada z drugiéj strony drzwi, plecami do publiczności.) I ja to samo powiem (siedzą chwilę, nic nie mówiąc.)

MONTFOMERY. A więc?

CLIFFORD. A więc?

MONTGOMERY. Cóż teraz będziem robić!? Nie mamy szpady, aby przeciąć ten węzeł.

CLIFFORD. Ani pistoletów, żeby go rozerwać.

MONTGOMERY, (postrzegając szachownicę stojącą na fortepjanie.) Jeden projekt, mylordzie... Pojedynek mniej krwawy a równie stanowczy.... (Idzie po szachownicę.)

CLIFFORD, (wstając) Zgaduję. (poważnie do Mont.) Ten kto przegra wyjdzie pierwszy, ... drugi dwie minut późniéj.

MONTGOMERY. Dwie minut późniéj, zgoda. (Szuko oczami gdzieby ustawić szachownicę.

CLIFFORD. Czego szukasz?

MONTGOMERY. Szukam... szukam......

CLIFFORD, (przysuwając fotel) Do licha! Postawmy na kolanach, jak niegdyś kiedy jeszcze byliśmy uczniami w uniwersytecie Oxfordzkim.

MONTGOMERY. Dobrze. (Siadają na lewo przy fortepianie. Stawiają szachownicę na kolanach i ustawiają szachy. Obadwa raz po raz spoglądają na drzwi pokoju panny Perceval.) Byłeś już wówczas moim współzawodnikiem, mylordzie.

CLIFFORD. Szczęśliwym współzawodnikiem.

MONTGOMERY. Szczęśliwym w szkołach!....

CLIFFORD. Świat jest także wielką szkołą. (Odwraca głowę i patrzy na drzwi.) Uważaj mylordzie, jesteś roztargniony.

MONTGOMERY. Przeciwnie to ty mylordzie.... Szach królowéj!

CLIFFORD. Jeszcze nie.... Otóż wolna.

MONTGOMERY, (po kilku cugach.) Szach królowi.

CLIFFORD. Mniejsza o to! (gra dalej.)

MONTGOMERY, (grając.) Strzeż się mylordzie.

CLIFFORD, (grając.) Bez uwag jeżli łaska, wygraj pan jeżli potrafisz.

MONTGOMERY, (grając.) Niewątpliwie wygram!

CLIFFORD, (grając.) Zdaje się panu!

MONTGOMERY (grają.) Przegrałeś. (Nagle szachownica spada im z kolan.)

CLIFFORD, (wstaje) Ah! mój Boże!

MONTGOMERY (wstaje i z gniewem przechodzi na prawo. Mylordzie, naumyślnie zrzuciłeś szachownicę!

CLIFFORD (idąc ku prawéj stronie.) Nie, to pan.

MONTGOMERY. Widziałeś pan że przegrasz partję.....

CLIFFORD Widziałeś pan że byłbym wygrał.

MONTGOMERY. Wygrał?

CLIFFORD. Eh mój panie kto przed chwilą upuścił wazon za 3,000, f. łatwo mógł zrzucić szachownicę za 40 fr.

MONTGOMERY, (z gniewem zbliżając się do Clifforda) Jest to niegodny podstęp!... niedelikatność.... nie...

CLIFFORD. Dość tego mylordzie!

MONTGOMERY. Wychodźmy! (Postępuje w głąb sceny.)

CLIFFORD. Otóż to kwestja... nie wyjdę.

MONTGOMERY, (wraca rozgniewany. Po chwili;) Nie gadam do pana.

CLIFFORD (mówi patrząc mu oko w oko.) Tem lepiej. (Postrzegłszy bibliotekę bierze na traf książkę i siada przy fortepianie.) Otóż ta książka stanie mi za towarzysza.... (Czyta tytuł.) Filozofia Arystotelesa, tłómaczona z greckiego na łacińskie. Dawno już pragnąłem przeczytać to znakomite dzieło.

MONTGOMERY, (postrzegłszy na kominku wielki dziennik Angielski czyta tytuł.) *Prospekt.* Mauzoleum! dziennik obejmujący opisy pogrzebów! Czytając go, mile spędzę kwadrans czasu. (siada z nim przy tualecie.)

CLIFFORD (czytając z powagą) De actione, passione et reliquis categoriis. Recipit vero et agere et pati contrarietatem et magis ac minus. (Podczas tego czytania, Montgo: zniecierpliwiony, odwraca się plecami do Clifforda. Czytają, Clifford zważa z pod książki wszystkie poruszenia Montgo: na stronie.) Zdaje się że sen go ogarnia... o tak! otóż szczęście niespodziewane!. Nie mylę się... opuścił głowę. Muszę także udać że zasypiam, aby go lepiéj wywieść w pole. Jak zaśnie jestem panem placu.

MONTGOMERY. (spoglądając na Clifforda z pod dziennika na stronie.) Zasypia! zasypia! (Cliff. upuszcza książkę.) Tak.. książka mu z rąk wypadła... Jaki traf szczęśliwy! Muszę i ja udawać że zasypiam, (udaje silne jak przez sen oddychanie.)

CLIFFORD, (do siebie na w pół otwierając oczy.) Doskonale! zasnął. (także udaje mocne oddychanie.)

MONTGOMERY. Boże odpuść! chrapie, najwyraźniéj chrapie. I ja będę chrapać! (obydwa chrapią.)

(d. c. n.)

O TRZĘSIENIACH ZIEMI

I WYBUCHACH WULKANICZNYCH.

(Dalszy ciąg)

Lecz wróćmy do wulkanów zwyczajnych, to jest tych co wyrzucają płomienie i lawy.

Pod koniec wybuchu, gdy ustaje już działalność wulkanu, krater długi czas jeszcze wydaje pary i gazy mniéj więcéj obficie, wydobywają się one także przez wielką ilość szczelin, po bokach góry utworzonych.

Większa część wulkanów które już zgasły, tworzą to co nazywają *Solfatare*. Wodor siarkowy wydobywający się z rozpadlin gruntu, za zetknięciem się z powietrzem tworzy wodę łącząc się z tlenem, a siarkę osadza na brzegach kraterów i rozpadlin gruntu. Takie ma geologiczne pochodzenie siarka, którą w Ponzzole blizko Neapolu zbierają.

Wybuchy wody wrzącéj znane pod nazwiskiem *geyserów* z podobnéj przyczyny powstają. Bywają one ciągle lub czasowo tylko działające Wielka ilość ich znajduje się w Islandyi. Jeden z *geyserów* Islandzkich wyrzuca słup wody wrzącéj 18 stóp szeroko, na wysokość 75 łokci. Woda ochładzając się, osadza znaczną ilość krzemionki, którą w rozpuszczeniu trzymała.

Ostatnią czynnością działania wulkanicznego, jest wydzielanie wielkiéj ilości gazu węglowego. W miejscowościach gdzie ten gaz wydobywa się nieustannie, znajdują się zawsze ślady dawnych wulkanów, których to wydzielanie się jest fenomenom ostatecznym. Bardzo wyraźnie widzić się to daje w Owernij, gdzie znajduje się mnóstwo źrodeł kwaśnych, to jest nasyconych gazem węglowym. Przy urządzeniu kopalni w Pontgibaud w tejże miejscowości, P. Fournet widział ten fenomen na wielką skalę; z kopalni z wielką gwałtownością i hukiem wydobywa się gaz węglowy, z jednéj studni gaz ten wyparł wszystką wodę i rozszedł się po dolinie, dusząc na śmierć konia i stado gęsi. Górnicy zdołali uciec, co im łatwo przyszło gdyż gaz ten jako bardzo ciężki, trzyma się nizko przy zie-

mi. Zabijące działanie powietrza w słynnéj *jaskini psa*, w okolicu Neapolu, z tejże przyczyny pochodzi.

Tu odnieść należy także sławną na Jawie *dolinę śmierci*, która dla tamtejszych mieszkańców przedmiot najwyższej trwogi stanowi. Cała pokryta jest szkieletami tygrysów, danieli, jeleni, ptaków, a nawet i ludzi, gdyż uduszenie przez gaz węglowy działa tu niezmiernie silnie, na wszystko co tam się zabłąka.

Przyjęliśmy, według Leopolda de Buch, podział wulkanów na dwie kategorje wyraźnie się różniące: *wulkanów centralnych* czyli *odosobnionych*, i *łańcuchów gór wulkanicznych*, mówiliśmy już czem się różnią one; teraz zaś przejdźmy do szczegółowego opisu niektórych, jakoteż i do geograficznego ich rozmieszczenia na powierzchni kuli ziemskiej.

Wulkany odosobnione.

Etna. Góra Gibel, w Sycylij, jest najznaczniejszym wulkanem w Europie. Wybuchy jego sięgają najodleglejszéj starożytności; historycy i poeci greccy i rzymscy obszernie opisywali straszliwe konwulsje téj góry.

Jeden z największych wybuchów Etny nastąpi w roku 1669. Podczas trzęsienia ziemi, które zburzyło do szczętu miasto Nicolosi, dwie przepaście otwarły się w pobliżu tego miasta. Taka z nich niezmierna ilość ciał utworu wulkanicznego wyrzuconą została, że z nagromadzenia się onych uformowały się góry Rossi.

Etna nie przedstawia tego ostrokręgowego kształtu, jaki pospolicie w wulkanach widzić się daje. Podstawa jéj jest bardzo obszerna, ma bowiem przeszło dwadzieścia mil obwodu i w nieznacznych pochyłościach ku górze się wznosi. To też na jéj stokach widzieć się dają wszystkie wegetacyjne strefy flory Europejskiéj.

Podnóże góry opasane jakby wiankiem przepysznych ogrodów; wyżéj następuje strefa lasów, a daléj już tylko nagie skały. Szczyt Etny dosięga wysokości około 10,000 stóp, przechodzi granice wiecznych śniegów, to też wierzchołek jego zawsze śniegiem jest pokryty lub ginie w chmurach.

Widok krateru Etny czyni przejmujące wrażenie. Choć z wielkim trudem, lecz można się dostać na sam brzeg jego. Odłamy lawy, bazaltu, czarnych żużli i żółtéj siarki bezładnie pomięszane, przedstawiają się oczom, a lawa wre i kipi w głębi tych ciemnych rozpadlin. W 1834 r. znakomici geologowie Elie de Beaumont i Leopold de Bach, w towarzystwie kilku jeszcze uczonych, zwiedzili mały krater czynny, stanowiący najwyższy szczyt góry.

„Była to dla nas wszystkich chwila zdziwienia trudna do opisania, mówi P. Elie de Beaumont, kiedy znaleźliśmy się niespodzianie nie na brzegu wielkiego krateru, lecz u samego brzegu małego bocznego otworu, mającego od 250 do 300 stóp średnicy, a przytykającego do głównego krateru jedną częścią swego obwodu.

„Wzrok nasz chciwie się zapuszczał w ten otwór prawie cylindryczny, lecz napróżno szukał on w nim przyczyn wulkaniczności! Warstwy, które poziomo rysowały się na prostopadłych jego ścianach, pokazywały nam tylko układ wierzchniego ostrokręgu; ginęły one stopniowo w zupełnych dna ciemnościach. Żaden huk nie wychodził z téj tajemniczéj otchłani, wydobywały się z niéj tylko białawe chmurki, z lekko siarczystym zapachem, głównie z pary wodnéj złożone. Postać posępna téj przepaści czarnéj i tajemniczéj, w któréj wzrok nasz tonął, o ścianach prostopadłych, ciemnych i wilgotnych, wzdłuż których wolno i melancholicznie wznosiły się małe, szarawe chmurki; przyległy wielki krater, w którym nagromadzenie bezładne ciał rozmaicie ubarwionych żółto, szaro, czerwono, czarno, zdawało się być obrazem chaosu, wszystko to w około nas składało się na widok posępny i grobowy. Zimno poranne podniesione lekkim wiatrem zwiększało jeszcze to wrażenie dzikie i smutne".

Z wierzchołka Etny patrzy się z zachwyceniem na warstwami ułożone w miarę wysokości, wszystkie bogactwa flory Europejskiéj. Widać dokładnie odgraniczoną strefę wiecznych śniegów, strefę leśną i strefę uprawną, a wszystko wznoszące się nad cudnym, różnobarwnym kobiercem zieleniejących równin Sycylji.

Wezuwiusz. Wezuwiusz dla Europejczyka jest wulkanem klassycznym. Powstanie jego nie jest tak dawném jak Etny, lecz wybuchy znacznie częstsze, bo oddzielone zwykle od siebie nie więcéj jak pięciu do sześciu latami.

Niezbyt odległego pochodzenia tego wulkanu dowodzi to, że pisma starożytnych naturalistów rzymskich, żadnéj wzmianki o nim nie czynią.

Aż do pierwszego wieku ery naszéj, znano tylko górę któréj nadawano nazwę *Somma*, mającą wierzchołek pokryty gajami, zaroślami i małemi jeziorkami. Wiadomém jest z opisu zostawionego przez Strabona, że Somma uprawną była aż do samego szczytu i odznaczała się urodzajnością. Nic nie przepowiadało straszliwego wybuchu, któren w pierwszym wieku naszéj ery zburzył tę górę; większą część jéj rzucił w morze i utworzył w zagłębieniu ztąd wynikłém, ostrokręg wulkaniczny, któren Wezuwiuszem nazwano.

Wszyscy wiedzą, że w czasie wybuchu roku 79 po Chrystusie w którym życie postradał naturalista Pliniusz, miasta Herkulanum i Pompeja, zostały zagrzebane pod niezmierna ilością żużli i ciał sproszkowanych, wyrzuconych z krateru nowego wulkanu.

Pompeja zasypaną była dość ruchomemi materjałami, Herkulanum zaś zalane gęstym błotem, które dziś pokrywa je warstwą zbitą i twardą. Pompeja za dni naszych mogła być oczyszczoną w znacznéj części. Poszukiwania od kilku lat bardzo energicznie prowadzone, dzięki czynnemu zajęciu się nowego Rządu Włoskiego, doprowadziły do tego, że już całe prawie miasto odkryć zdołano.

Pierwsze wybuchy Wezuwiusza nie wyrzucały lawy,—żużle i popioły tylko. Pierwsze potoki lawy ukazały się dopiero w roku 1036. W 1500 r. nastąpił potężny wybuch, któren wyrzucił niezmierną ilość popiołów. Następnie krater w zupełnym pozostawał spoczynku aż do roku 1631, wtedy zapalił się on na nowo. Góra od wybuchów i wstrząsnień wolna, miała czas pokryć się lasami, w których pasło się bydło. Wszystko to najniespodzianiéj w powietrze wyrzucone zostało lub spalone. Siedem potoków lawy wydobywających się z krateru, pokryło ognistą falą kilka nieszczęśliwych wiosek. Na tychże samych lawach pobudowano póżniéj wioski nowe, noszące obecnie nazwy: Torre dell' Annunciata, Torre del Greco, Resina, Portici, etc.

Od téj epoki rzadko kiedy upływało lat dziesięć, ażeby Wezuwiusz nie dawał znaku życia. W roku 1730 krater przez obficie nagromadzone materjały podniósł się nieco i tak rozszerzył, że wierzchołek jego tworzył małą równinę. 2 grudnia 1737, krater wyrzuca bryły stwardniałéj lawy do 11 stóp średnicy mające. Wybuch roku 1766 trwał dziewięć miesięcy, a lawa utworzyła wielkie jezioro ogniste. Kształt krateru był wtedy godny zastanowienia; tworzył go wązki ostrokrąg, z którego jakby z komina buchały ciągle płomienie, gazy, żuzle i popioły. Poseł Angielski Hamilton, wydał bardzo ciekawe ryciny przedstawiające stan Wezuwiusza podczas tego wybuchu. (Campi phlaegraei, Observations sur les volcanes des Deux-Siciles, texte anglais et français, 95 planches, in folio, Naples 1776). Wybuch w roku 1767 opisany także i w rycinach przedstawiony przez Hamiltona; odznaczał się on niezmierną ilością wyrzuconéj lawy. Wezuwiusz w tym czasie podniósł się na 185 stóp. 20 października lawa otworzyła sobie przejście o 100 stóp poniżéj dawnego krateru. Podczas wybuchu 29 lipca 1779, słupy płomieni z krateru Wezuwiusza buchające, wznosiły się do ogromnéj wysokości.

Inne ważniejsze wybuchy miały miejsce w 1790, 1794, 1804, 1810, 1817, 1820, 1822, 1831, 1834, 1839 i 1861.

Wyspy Lipari. Wyspy Lipari naprzeciw Sycylij leżące, zawierają dwa odosobnione punkta działań wulkanicznych: Stromboli i Volcano. Lecz Stromboli jest najczynniejszy.

Wznosi się on na brzegu wyspy utworu wulkanicznego, toż samo nazwisko noszącéj, i podejrzywać należy, że jest w związku z ogromnemi podziemnemi ogniskami, które zasilają Wezuwiusz i Etnę. Jest to w Europie wulkan najbardziéj na uwagę zasługujący, z powodu swego nieustannego działania. Znany w najodleglejszéj starożytności, wzmiankowany przez Homera, Stromboli ani na chwilę nie przygasił swoich świetnych płomieni, które zjednały mu nazwę *Latarni morskiej morza Śródziemnego* lub *morza Tyryiskiego*. Od dwóch tysięcy lat niewidziano aby przygasł jego ognisty pióropusz, dziś, jak i za czasów Homera, słup płomieni wychodzący z jego krateru, służy okolicznym sternikom do kierowania się wśród ciemnych nocy.

Cała wyspa Stromboli składa się z produkcji wulkanicznych, z law i żużli. Tworzy ona jeden ostrokręg, rozcięty od szczytu aż do dołu szeroką rozpadliną. Krater znajduje się w rozpadlinie o 600 stóp poniżéj wierzchołka, lawa ścieka podnóżem téj ogromnéj rozpadliny.

Nie trudno jest wejść na sam szczyt góry, a tak jak przepaść nad kraterem jest prostopadłą, można wygodnie wzrok zapuścić w ciemny otwór, bez zbyt wielkiego niebezpieczeństwa od wydobywającéj się pary siarkowéj i wyrzucanych kamieni, gdyż panuje się nad całym kraterem z dość znacznéj wysokości.

Ponieważ jednak wierzchołek góry złożony jest z brył i kamieni ruchomych, z tego więc powodu jest trochę niebezpieczeństwa w zbliżaniu się na sam brzeg przepaści.

(d. c. n.)

N. 33. Przyjaciela dzieci wyszedł z druku i zawiera: Nauka moralności.—Przygody Adasia, napisane przez Marję Brühl.—Hal-Mei.—Czyny nauczające, ułożone z historji starożytnéj i nowożytnéj.—Bitwa pod Warną.—Wieści ze świata.—Góry Azji, (z ryciną).—Ogłoszenie. W dodatku: Opowiadanie z drugiéj podróży Krzysztofa Kolumba, (z drzeworytem).—Wielkie zwycięztwo.—Zła próba, (wiersz) Jerzego Laskarys.—U babci na wsi.—Mądra odpowiedź.—Aragonja, (z ryciną).

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk. K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066*k*. Дозволено Цензурою Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek

MIŁOŚĆ DZIEWICY

OPOWIADANIE

Z WYPADKÓW PRAWDZIWYCH

ZASZŁYCH MIĘDZY ROKIEM

1770 a 1794

UŁOŻONE PRZEZ

ERNESTA DAUDET.

(Dalszy ciąg).

Wiedzieli, że pałac małą bardzo ma liczbę obrońców i że najdzielniejszy z nich, Coursegol, tegoż dnia udał się do Arles. Wiedzieli także, że pałac leży na odosobnionem wzgórzu, zdala od wioski i miasteczka Remoulins, będą więc mogli zburzyć go i zrabować, zanim jakakolwiek pomoc nadciągnie. W kilka godzin porozumieli się zupełnie i ułożyli plan napaści.

Około dziewiątéj wieczorem pojedynczo wychodzili z Nîmes i zeszli się przed północą w pobliżu mostu Gard; tu porozumiawszy się ostatecznie, skierowali się razem ku wzgórzu, na którem wznosił się pałac de Chamoudrin.

Kilkunastu cyganów koczujących u stóp wzgórza, zrozumiawszy o co chodzi, podobni złowieszczym krukom czyhającym na zdobycz, przyłączyli się do bandy aby wziąść udział w rabunku. Wszystko to razem tworzyło bandę złożoną blizko z 60 ludzi.

Było już po północy, jednak nikt w zamku nie pomyślał jeszcze o spoczynku. W wielkiéj sali siedzieli, rozmawiając o okropnościach jakich Nîmes było widownią: stary margrabia, Filip, Antonina de Mirandol, siwowłosy proboszcz z Remoulins i kilku bogatych okolicznych właścicieli ziemskich. Opłakiwano tyle niewinnych ofiar, zapytując z trwogą czy krew przelana w Nîmes przebłaga sprawiedliwość Bożą; naradzano się jak odwrócić powtarzanie się podobnych rzezi. Nareszcie proboszcz Peretty, powszechnie szanowany kapłan, przypomniał że czas wracać do siebie. Wszyscy powstali, lecz właśnie gdy zaczynali się żegnać, straszny krzyk przerwał ciszę nocy—obecni wybiegli przed zamek. Służący stojący na czatach, zawołał:

— Napadają na zamek!

Filip jednym rzutem oka objął cały ogrom niebezpieczeństwa; bladawe światło księżyca straszną oświecało scenę. Do pałacu jedno tylko było wejście, przez bramę zamkniętą grubą żelazną kratą. Krata ta była bardzo gęsta i wysoka, zakończona w górze ostro ściętem żelazem; pomimo to wściekłością i trunkiem pijani bandyci, postanowili dostać się do wnętrza pałacu. Jedni za drugimi wdzierali się na kratę, która uginała się pod ich ciężarem; grube pręty chwiały się, zawiasy skrzypiały, zdawało się że krata runie lada chwila,

Margrabia, Filip, obecni goście i wierni słudzy pochwycili broń znajdującą się w sali, Antonina spoglądała z przerażeniem na ten niespodziewany napad Siwowłosy kapłan postąpił ku napastnikom:

— Czego chcecie? spytał łagodnie.

— Otwórzcie kratę!, wołali najumiarkowańsi.

— Chcemy głowy margrabiego! wołali inni.

— Czy macie jaki żal do niego? zapytał jeszcze kapłan pragnąc uspokoić nędzników.

— Śmierć arystokratom! wrzasnęli jakby jeden człowiek.

Jeden z zajadłéj tłuszczy wycelował do czcigodnego kapłana, starzec wzniósłszy oczy w niebo, i spokojnie cofając się do swoich którzy już stali uzbrojeni, rzekł smutnie:

— Nie chcą słuchać głosu sumienia ani rozsądku.

— Więc będziem się bronić! zawołał Filip.

W téj chwili margrabia spostrzegł Antoninę stojącą tuż obok, w około niéj cisnęły się przestraszone służące pałacowe.

— Wracajcie do zamku, moje dzieci; Antonino zabierz ich z sobą.

— O! nie pójdę!.. pozostanę tu z wami!..

— Nie, moje dziecię, odrzekł; nie wątpię o twojéj odwadze, ale na cóż masz narażać się daremnie; zamiast pomódz, przeszkadzałabyś nam tylko.

Krata opierała się jeszcze; niektórzy z bandytów próbowali dostać się na dachy pawilonów roznoszących się z obu stron. Filip postąpił ku kracie.

— Odstąpcie natychmiast! zawołał.

— Śmierć wam! śmierć wam! zawyła wściekła tłuszcza.

— Odpowiecie przed Bogiem za krew przelaną! zawołał młodzieniec.

I w tejże chwili wycelował do nędznika, który wdarłszy się na wierzch kraty, zamierzał zeskoczyć na dziedziniec zamkowy. Klątwy i odgróżki rozległy się w przestrzeni, a tuż za niemi dała się słyszeć głośna kanonada. Oblegający i obleżeni bili się zacięcie. Obrońcy pałacu zbyt byli nieliczni, nie mogli więc osłabiać się jeszcze wysłaniem kogo do Remoulins z wezwaniem o pomoc. Zresztą nie wiedzieli czy po za tą bandą nie nadciągają inne; mieli jednak nadzieję, że sam odgłos wystrzałów sprowadzi okolicznych mieszkańców. Margrabia walczył zaciecie jak człowiek broniący swego zagrożonego ogniska. Filip bił się jak lew zrozpaczony; myślał o starym ojcu, o strasznym losie jaki spotkałby szlachetną, opiece ojcu powierzoną dziewicę, jeśliby dziki ten motłoch stał się panem zamku. Wszyscy obrońcy pałacu, panowie i słudzy bohaterską odznaczali się odwagą; nieszczęściem brakło Coursegol'a, który byłby najskuteczniejszą zarządził obronę.

Napastnicy miotali się wściekle, ale, z małym wyjątkiem, źle bardzo lub wcale nie byli uzbrojeni. Niektórzy tylko posiadali dubeltówki, inni siekiery lub motyki.

— Wyłammy kratę! wrzeszczeli.

Ale żaden nie mógł dotrzymać na tem niebezpiecznem stanowisku. Dobrze bowiem kierowany ogień obleżonych nie ustawał; tłuszcza cała cofnęła się po za drzewami, strzelali na traf, lecz ilekroć próbowali posuwać się naprzód, zostawali odparci ze stratą. Już sześciu bandytów śmierć poniosło, cyganie trzymali się w pobliżu zbójeckiéj bandy, oczekując chwili w któréj będą mogli bezpiecznie rabować i obdzierać zwyciężonych. Dwóch z tych włóczęgów obchodziło mury pałacu, upatrując miejsca którem mogliby dostać się do wnętrza, nie przechodząc przez kratę w około któréj ześrodkowała się najzaciętsza walka.

Gdy się to dzieje, Antonina otoczona kilku kobietami ze służby pałacowéj, miotana przerażeniem i obawą o los ukochanych, modliła się gorąco. Jakże żałowała teraz że nie jest mężczyzną, aby mogła walczyć obok Filipa!... W tem strzelanie ucichło na chwilę i nagle Filip wpadł do sali. Był nadzwyczaj blady; twarz okopcona prochem, ubiór w nieładzie, odkryta głowa, zdradzały zarazem gniew i boleść.

— Trzeba uciekać! zawołał.

I biorąc rękę Antoniny, skinął na służące i wyszedł z niemi na długi korytarz, prowadzący do parku. Tuż za niemi szli obrońcy pałacu, niosąc na ręku rannego. Zobaczywszy to, Antonina krzyknęła boleśnie.

— O! wolałbym był zginąć! zawołał Filip; niepodobna bronić się dłużéj,—wyłamali kratę,.... ojciec mój mocno ranny.... trzeba uciekać aby nie dostał się w moc téj dzikiej hordy...... trzeba uciekać aby ratować ciebie....

Weszli do parku. Antonina szła prawie bezprzytomna; byłaby upadła, gdyby nie ramię Filipa podtrzymujące jéj chwiejące kroki.

Czterech ludzi niosło margrabiego, Filip i Antonina zbliżyli się do niego. Miał wielką ranę w piersi, ale nie stracił przytomności. Zobaczywszy że Filip prowadzi Antoninę, popatrzył na nich z boleśnem rozrzewnieniem i zdobył się na uśmiech aby ich uspokoić.

Mała gromadka przebiegała park jak mogła najśpieszniéj, aby dostać się do odosobnionego pawilonu ukrytego wśród drzew i zarośli. Smutny to był ten pochód poważnych i zasępionych mężczyzn i łzami zalanych kobiet, uciekających wśród nocy przed dziką tłuszczą rozwścieczonych morderców. Nareszcie doszli do pawilonu który od bardzo dawna stał pustkami; szczęściem w rogu pokoju stało stare jakieś łóżko, na którem złożono margrabiego. Ksiądz Perrety wziął chusteczkę Antoniny i z pomocą Filipa jak mógł obandażował ranę. Jednocześnie wysłano dwóch ludzi, którzy każdy inną boczną drogą udali się do Remoulins, aby sprowadzić doktora i wezwać ludność miejscową o przybycie na ratunek pałacu.

Upłynęła godzina, która dla oczekujących wydała się wiekiem. W pokoju głuche panowało milczenie, i tylko słychać było ciężki oddech margrabiego i cichy szept modlitwy kapłana. Antonina rozpaczała, Filip cierpiał niewymownie. Ileż to boleści zbiegło się w jego sercu! Stał przy łożu umierającego ojca; dom jego rodzinny w którym tyle drogich dla serca mieściło się wspomnień, znieważony najściem dzikiéj tłuszczy, świętokradzką ręką niszczącej najmilsze pamiątki rodzinne; wreszcie Antonina, która podwójną dziś zostanie sierotą.... A Dolores? co się z nią dzieje? jak okropnie cierpieć będzie, gdy się dowie o nieszczęściu które ich dotknęło.....

Wtem nagle, jeden z domowników, który odważył się zakraść do parku aby zobaczyć co się dzieje w pałacu, wpadł do pawilonu, wołając:

— Podpalili pałac!

Znękany tylu cierpieniami Filip, obojętnie prawie przyjął wieść o nowym ciosie, wyszedł z pawilonu i stanął o kilka kroków. Słupy płomieni wznoszących się ku niebu, zaciemniały je swym dymem; drzewa przybrały ponurą, czerwonawą barwę, a trzask i syk gwałtownie szerzącego się pożaru, dochodził uszu jego pomieszany z wrzaskami i śpiewem rozhukanéj bandy. Dwie łzy gorące spłonęły po jego li-

cach; otarł je w milczeniu i chciał wracać do łoża ojca, gdy wtem zatrzymał go ksiądz Peretty, który wysunął się za nim z pawilonu:

— Odwagi, moje biedne dziecię! rzekł z współczuciem.

— Nie zbraknie mi jej, mój ojcze; łatwo byłoby przenieść utratę majątku, ale strata ojca....

Wzruszenie głos mu stłumiło; kapłan nie miał sił pocieszać go nadzieją, której sam nie żywił w sercu. Po chwili milczenia, kapłan rzekł znowu.

— Nie mogę taić przed tobą jednéj jeszcze miotającej mną obawy; lękam się, aby po spaleniu pałacu, zapamiętalcy ci nie rozbiegli się plądrować w parku i nie wykryli naszego schronienia. Ja nie mam się czego lękać, więc pozostanę przy margrabim; poszanują przecie umierającego i czuwającego nad nim siwowłosego kapłana,—ale ty, Filipie, powinieneś natychmiast uciekać z panną de Mirandol......

— Nie, to niepodobna, nie odstąpię od łoża umierającego ojca! zawołał Filip; jeśli wykryją nasze schronienie, bronić się będziem do ostatniéj życia chwili.

Kapłan pochylił głowę i razem weszli do pawilonu. Postrzegłszy ich margrabia, uniósł się nieco i zapytał Filipa.

— Pałac się pali! wszak prawda?

— Tak, mój ojcze, odrzekł smutnie młodzieniec. Widać było jak boleśnie odpowiedź ta dotknęła umierającego; po chwili milczenia skinął na syna, a gdy tenże ukląkł przy wezgłowiu, rzekł słabym głosem:

— Synu mój, wysłuchaj ostatniej woli mojej. Uciekaj natychmiast z Francyi, nieszczęsny kraj nasz stanie się widownią najstraszniejszych nieszczęść i zbrodni, których odwrócić nie zdołacie, a pozostając staniecie się ich ofiarą. Oddal się więc jak najspieszniéj, szukaj schronienia w obcym kraju,—nie zapominaj, dziecię moje, że jesteś ostanim potomkiem rodu Chamoudrin'ów.

— O! ty żyć będziesz, mój ojcze!

— Nie łudźmy się, mój synu, wiem że umrę i czuję już zbliżającą się śmierć. Filipie, wysłuchaj ostatniéj prośby umierającego ojca, spełń najdroższe moje życzenie; niech umieram spokojny że ród mój nie zaginie; zostań mężem hrabianki de Mirandol.

Wiemy już że Filip był przekonany iż Dolores postanowiła wieczne wykonać śluby, nie miał więc żadnej nadziei aby mogła kiedyś zostać jego żoną, i ztąd powoli oswoił się z myślą że będzie zmuszony zaślubić inną kobietę; czegóż więc miał odpychać Antoninę, która go tak szczerze kochała?

— Gotów jestem spełnić wolę twoją, kochany ojcze, ale czy pomyślałeś o tem, że panna de Mirandol jest bardzo bogata, a ja dziś nic już nie posiadam.

Margrabia skinął na Antoninę i rzekł coraz więcej osłabionym głosem:

— Antonino, Filip jest teraz zupełnie biednym, nie ma dachu ani schronienia, musi iść tułać się po obcéj ziemi. Cała przyszłość jego i wszystkie nadzieje stracone może na zawsze, król żadnego teraz nie może dać mu poparcia, wrogowie nasi przywłaszczyli sobie władzę. Powiedz, czy mimo to wszystko pragniesz zostać jego żoną.

— Możeszże pytać, mój ojcze, zawołała z zapałem; teraz dopiero cieszę się z majątku mego, kiedy będę mogła podzielić go z Filipem.

Wzruszony Filip uścisnął dłoń szlachetnéj dziewicy; niewysławiona radość rozjaśniła twarz umierającego.

— Niech was Bóg błogosławi, dzieci moje; uchodźcie za granicę i jak tylko okoliczności pozwolą, połączcie się nierozerwanemi węzły. Nie wracajcie do Francji, dopókąd nie ochłonie iz szału jaki ją teraz opętał; kochajcie się, bądźcie zawsze wierni Bogu i ojczyźnie.

Filip i Antonina płakali głośno; margrabia rzekł po chwili, zwracając się do księdza Peretty:

— Ojcze, pobłogosław ich.

Młodzi klęcząc przy łożu umierającego, milcząc podali sobie dłonie. Kapłan zbliżył się, odmówił krótką modlitwę, położył ręce na ich głowach i wyrzekł uroczystym głosem:

— Antonino do Mirandol, czy chcesz zostać żoną Filipa de Chamoudrin?

A gdy dziewica odpowiedziała twierdząco, zwrócił się z kolei do Filipa i odebrawszy też samą odpowiedź, dodał:

— Niechaj błogosławieństwo Boże zawsze będzie z wami! W obecnych okolicznościach nie mogę połączyć was węzłem małżeńskim, ale jestem świadkiem przyrzeczeń jakie uczyniliście sobie przed Bogiem, i błagam Go aby was świętą swoją otoczył opieką.

— Umieram spokojny, rzekł konający margrabia zaledwie dosłyszanym głosem; błogosławię was, dzieci moje!... Boże ulituj się nad nieszczęśliwą Francją... Ojcze daj mi ostatnie rozgrzeszenie..

Kapłan spełnił żądanie umierającego i niezadługo margrabia ostatnie wydał tchnienie. Filip i Antonina klęczeli jeszcze przy łożu, gdy wpadł jeden z domowników.

— Mordercy rozbiegli się po parku... zdążają w tę stronę! zawołał przerażony.

Ksiądz Peretty który modlił się przy zwłokach zmarłego, powstał, wołając:

— Uciekajcie wszyscy!

— Nie odstąpię zwłok ojca! odrzekł Filip.

Antonina spojrzeniem potwierdziła słowa jego, i milcząc stanęła przy nim.

— W imieniu zmarłego ojca, powtarzam wam wolę jego: uciekajcie natychmiast!

I mówiąc to, palcem wskazywał drzwi.

— Lecz któż zajmie się pochowaniem mojego ojca? zawołał Filip.

— Ja! odrzekł kapłan, ale w Imie Boga, uciekajcie!

Filip i Antonina nie śmieli opierać się dłużéj, i złożywszy pocałunek na martwéj ręce margrabiego, opuścili pawilon.

Zostawszy sam, kapłan ukląkł przy łożu zmarłego, i spokojny, jak gdyby znajdował się w kaplicy, odmawiał pobożnie modlitwy za umarłych. Ponury zmrok zalegał pokój nader słabo oświecony jedną dogorywającą świecą, na dworze wielka łuna pożarna daleką oświecała przestrzeń. Bandyci biegali po parku krzycząc i wyjąc, deptali kwiaty, łamali drzewa, tłukli posągi i marmury, w braku żyjących pastwili się na wszystkiem co napotkali.

Odblask łuny uwidocznił pawilon, którego drzwi stały otworem, kilku bandytów wpadło tam natychmiast. Wtem tuż za progiem staje przed nimi siwowłosy kapłan, i wskazując ręką proste łóżko na którem leżały martwe zwłoki margrabiego de Chamoudrin, rzekł poważnie:

— Odejdźcie! nie naruszajcie spokoju umarłych....

Zaledwie wyrzekł te słowa, nędznik jakiś uderzył go siekierą w głowę, i starzec padł bez życia, a drugi przesuwał zapaloną głownię po deskach podłogi dopokąd nie rozniecił pożaru. Gdy ogień ogarnął cały pawilon, napastnicy uciekli szerzyć daléj mord i zniszczenie. Rabunek trwał kilka godzin; dopiero dowiedziawszy się że gwardja narodowa z Remoulins biegnie na pomoc, złoczyńcy rozbiegli się na wszystkie strony, aby uniknąć zasłużonéj kary.

Niestety! pomoc przybyła za późno.

Gdy nazajutrz, wierny Coursegol trawiony gorączkowym niepokojem przybył do Chamoudrin, znalazł tylko zgliszcza pałacu. Ów wspaniały gmach, w którym przyszedł na świat i tyle lat życia przepędził, zamienił się w kupę gruzów, z pośród których sterczały spalone mury i wznosiły się kłęby dymu. Cały folwark i wszelkie zabudowania takiemuż uległy losowi; w parku świeciły tu i owdzie szkielety niedopalonych drzew i szczątki posągów, między któremi uwijali się cyganie i inni włóczęgi, przeszukując coby jeszcze zabrać można. Ujrzawszy tak smutny obraz, krzyk rozpaczy i gniewu wydarł się z piersi Coursegola; ale któż wyrazi boleść jaka ścisnęła serce wiernego sługi, gdy spostrzegł że pod gruzami pawilonu, leżą jeszcze niedopalone zwłoki margrabiego i sędziwego kapłana. Cóż się stało z Filipem i Antoniną? Nikt nie umiał odpowiedzieć mu na to; jeden tylko z domowników objaśnił, iż widział ich uciekających, ale co się później z nimi stało. Ta niepewność do reszty zgnębiła Coursegol'a; serce ścisnęło mu się boleśnie; upadł na przepaloną murawę, i siedząc tak nieruchomie gwałtowną miotany rozpaczą, opuścił głowę na piersi i gorzko zapłakał.

VI.

Dnia 3 września 1792 r. około jedenastéj rano, dwoje podróżnych przybywających gościńcem Lugduńskim, zatrzymało się przed rogatkami Tronowemi. Był to mężczyzna wysokiego wzrostu, miał twarz wyrazistą i ręce mocno opalone, oraz młoda kobieta, oboje w ubiorze wieśniaków Południa. Znużenie wyryte na ich twarzach, kroplisty pot spadający z czoła i gruby kurz pokrywający odzież, długą znamionowały podróż. Dochodząc do rogatki, mężczyzna który dźwigał podróżny kuferek, zatrzymał zię jakby dla wytchnienia, kobieta poszła za jego przykładem i oboje usiedli nad drogą.

— Czy tylko nas puszczą? rzekła cicho kobieta spoglądając w stronę Paryża, a wejrzenie jéj wyrażało zarazem niewysłowiony niepokój i trwogę przejmującą ją na samą myśl, że musi poddać się śledczemu badaniu żołnierzy strzegących rogatek.

— Cóż znowu! mamy jak najformalniejsze pasporta. odrzekł towarzysz. Gdybyśmy chcieli opuścić Paryż, pewnie robionoby nam różne trudności, ale wejść z pewnością nam nie zabronią; zatem bądź pani zupełnie spokojną.

— Coursegol'u, nie nazywaj mnie panią ale córką twoją; jeśli się do tego nie przyzwyczaisz zawczasu, łatwo możesz się omylić w obec obcych, a pomyłka taka mogłaby zgubić nas oboje.

— O nie! w przytomności ludzi obcych doskonale odgrywam moją rolę, ale gdy jesteśmy sami nie zapomnę nigdy, że jestem tylko wiernym sługą.

— Ty sługą! o nie!... ty jesteś najlepszym przyjacielem... ojcem moim..... od lat dziecinnych otaczałeś mnie najtroskliwszą pieczołowitością, kochałeś jak własną córkę.

Stary sługa i towarzysz margrabiego de Chamoudrin, spojrzał na młodą kobietę z wyrazem tak nieograniczonego przywiązania, iż samo to wejrzenie potwierdzało w zupełności jéj słowa; po chwili milczenia, rzekł:

— Bądź co bądź, zdaje mi się iż należało nam pozostać w owéj wioszczynie, gdzie się woźnica zatrzymał i czekać sposobności któraby nas pewniéj doprowadziła do celu podróży.

— Ach! kiedy tak gorąco, pragnę jak najprędzéj dostać się do Paryża.... jeśli Filip i Antonina żyją jeszcze, tam tylko znaleźć ich możemy.

— O! ja pewny jestem że żyją, ale być może iż emigrowali, a w takim razie po cóż masz narażać się

daremnie na niezliczone niebezpieczeństwa, jakie w Paryżu co krok spotkać dziś można.

— Będziem żyć spokojnie w cichym jakim kątku, nie mięszając się do niczego, nikt więc nie zwróci na nas uwagi, a łatwiéj nam przyjdzie zasięgnąć potrzebnych wiadomości.

— Daj Boże! odpowiedział; jeśli tylko Bridoul nie zapomniał dawnego przyjaciela, to w domu jego znajdziem bezpieczne schronienie.

— Nie liczysz więc na niego z pewnością?

— A na cóż i na kogo można dziś liczyć z pewnością!.. Bridoul jest dawnym moim kolegą i dawniéj bardzośmy się kochali. Był on także bardzo przywiązany do pana Filipa, w którego szwadronie służyliśmy oba,—ale obecnie samą pamięć o tem poczytanoby za zbrodnię. Przezorność więc nakazuje zapomnieć o wszystkiem, a ileż to razy strach zmienia i upadla najzacniejsze serca! Jednak pewny prawie jestem, że Bridoul się nie odmienił..... zresztą wkrótce się przekonamy. Teraz tylko odwagi, kochane dziecię: nie zmięszaj się gdy żołnierze strzegący rogatek będą ci się przypatrywać i indagować.

— Bądź spokojny, ojcze, odrzekła z uśmiechem Dolores.

Coursegol wziął walizkę i pewnym krokiem poszedł ku rogatkom; Dolores szła za nim, a serce jej biło gwałtownie. Jak tylko przestąpili próg nieco odemkniętéj kraty, szyldwach zatrzymał ich i poprowadził do małego domku zajętego przez gwardzistów narodowych, obowiązanych czuwać z téj strony nad bezpieczeństwem Paryża. Dowódzcą straży był porucznik, prawie jeszcze młodzieniaszek; widząc że żołnierze przyprowadzili człowieka podeszłego wieku z młodą dziewicą, wstał zapytując:

— Cóż tam znowu?

— Poruczniku, rzekł Coursegol, nie czekając zapytania, pragnę dostać się do Paryża.

— Dostać się do Paryża! jest to życzenie przeciwne chęciom tysiąca znajdujących się tam osób które wieleby dały żeby się wydostać z niego mogły. A ta obywatelka? rzekł wskazując na Dolores.

— To moja córka.

— Siadaj, obywatelko, rzekł porucznik, podając jej własne krzesło.

Gdy usiadła, zapytał znów Coursegol'a.

— Skąd przybywacie?

— Z Beaucaire.

— Piechotą?

— Nie, obywatelu, przybyliśmy frachtowym wozem do Montgeron. Nie było więcéj podróżnych; gdy właściciel i woźnica zarazem dowiedział się o niepokojach panujących w Paryżu, nie chciał jechać daléj, mówiąc że poczeka aż się uspokoją. Miał dużo pakunków i lękał się o nie.

— Cóż to! czy uważa patrjotów za rabusiów? zawołał z gniewem oficer. Niech no tylko przejeżdża tędy kiedy ja będę na służbie, dam mu pamiętną nauczkę. No! pokaż pasporta.

— Oto są.

Dowódzca warty wziął papiery i przeglądał uważnie...

— Datują od lat dwóch, rzekł nareszcie; gdzież byłeś przez ten czas?

— Córka moja chorowała ciężko i z tego powodu musiałem długo zatrzymywać się w Wiennie, w Dijon i w Montereau, jak tego dowodzi wizowanie pasportów przez władze tych miast.

— Prawda. Każę więc zaprowadzić was do właściwéj sekcji, a jeśli, jak mi się to zdaje, papiery wasze są w porządku, nie zabronią wam wstępu do Paryża.

I młody porucznik odwrócił się i wydał rozkaz jednemu z żołnierzy, a gdy tenże oddalił się, zbliżył się prędko i rzekł cicho do Coursegol'a:

— Ty i córka twoja wyglądacie na poczciwych ludzi, pragnąłbym szczerze uchronić was od jakiego nieszczęścia; otóż w téj chwili pobyt w Paryżu jest bardzo niebezpiecznym. Od wczoraj mordują więźni, może bezpieczniéj będzie dla ciebie i córki, żebyście przeczekali aż wzburzony lud się uspokoi.

— Dziękuję ci, za przestrogę, obywatelu, ale i my pochodzim z ludu, więc nie mamy się czego lękać. A z resztą znam dzielnego patryotę, któryby mógł poręczyć za nas w razie potrzeby. Mówię o obywatelu Bridoul, który trzyma winiarnię przy rogu ulicy S-go. Antoniego.

— A! a! pod *Frygijską czapką*, odrzekł oficer, w istocie Bridoul słynie jako dobry patrjota,—pod jego opieką możecie być bezpieczni. Bądźcie zdrowi!

Coursegol wziął Dolores pod rękę i poszedł za żołnierzem prowadzącym ich do władzy municypalnéj. Tu znów powtórzyła się indagacja; Coursegol powtórzył raz już dane odpowiedzi, a ponieważ osoby pragnące dostać się wówczas do Paryża, nie mogły budzić podejrzeń, bez wielkich trudności zawizowano im pasporta i niezadługo weszli do stolicy, na któréj ulicach przerażający czekał ich widok.

Było około południa, kiedy Coursegol i Dolores przeszedłszy przez plac Bastylii przedarli się nareszcie na ulicę S-go. Antoniego, po któréj uwijały się tłumy mężczyzn i kobiet, oraz obdartych dzieci. Był to pamiętny dzień trzeciego września, w którym zuchwalstwo i grubiaństwo *sans-culottów* i tak zwanych *pończoszniczek* (*tricoteuses*) wszelkie przeszło granice, a biada temu na czyjej twarzy choćby przez chwilę tylko ukazał się wyraz przerażenia litości lub smutku. Podobna zbrodnia okrutnie była karaną.

Doszedłszy do ulicy S-go Antoniego, Coursegol zawahał się, nie wiedząc co czynić, zatrzymać się czy iść daléj? Z jednéj strony lękał się narażać Dolores na zetknięcie z rozszalałym tłumem, z drugiéj zastanawiał się że tłumy te nie prędko może się rozejdą, a w takim razie niebezpiecznie-by było zostawać długo może bez opieki i schronienia. Winiarnia Bridoul'a znajdowała się na drugim rogu ulicy; chcąc tam dojść trzeba było przeciskać się przez zalegające ją tłumy, a strasznie to trudne było zadanie. Mimo to niespokojna Dolores zdobyła się na tę odwagę.

Z początku szli spokojnie idąc po za tłumem który zdawał się w też samą co oni zmierzać stronę, lecz przeszedłszy plac Królewski musieli znacznie zwolnić kroku, a po za ulicą *brukową* trzeba było się zatrzymać; gęste i zbite tłumy zamieniły się jakby w mur nieprzebity. Coursegol obiema rękami osłaniał Dolores, pomimo to ściśnięta ledwie oddychać mogła.

Coursegol od trzech lat już nie widział Bridoul'a, wiedział tylko że trzymał winiarnię przy ulicy S-go Antoniego; otóż dowiedziawszy się, że dawny towarzysz broni obrał sobie za szyld *Frygijską czapkę*, lękał się aby zamiast przyjaciela nie znalazł w nim zagorzałego patrjotę, który odepchnie służącego margrabiego de Chamoudrin. Co tu począć? jak się przekonać, kiedy nie przebity tłum ani kroku postąpić nie daje? Nareszcie przyszła mu myśl zapytać kogoś, co jest powodem tak licznego ludu zgromadzenia się na téj ulicy, i w tym celu zwrócił się do stojącego obok mężczyzny, zapytując co to wszystko znaczy?

— Co znaczy? odrzekł nie bez goryczy w głosie nieznajomy; znaczy, że lud w tryumfalnym pochodzie obnosi po ulicach głowę księżnéj de Lamballe.

Coursegol drgnął zdjęty przerażeniem i litością, przypomniał sobie iż nie raz widział piękną księżnę u księcia de Pentièvre, i wiedział, że ona głównie protegowała Filipa. Dolores długo stała po za nim nieruchomie, nareszcie uczuwszy pod nogami grunt ślizgi i wilgotny, chwyciła Coursegol'a za ramię, wołając:

— Stoję w wodzie!

Odwrócił się nagle i tyle dokazał, że mogła posunąć się o parę kroków. Odetchnęła swobodniéj; w tem spojrzawszy na ziemię, krzyknęła przerażona.

— To krew... krew!

Coursegol ujrzał tuż obok niéj dużą kałużę krwi, a o parę kroków daléj martwe zwłoki jakiegoś zamordowanego więźnia.

— O Boże! gdzież my jesteśmy?, krzyknął przerażony.

Nieznajomy który raz już mówił do niego, zbliżył się nieznacznie, i rzekł z cicha:

— Jesteście o sto kroków od więzienia la Force, w którem przed godziną wymordowano więźniów, a przysuwając się więcéj, dodał jeszcze ciszéj: Powiedz młodéj towarzyszącéj ci dziewicy, żeby była ostrożną; gdyby usłyszano krzyk jéj wydany przed chwilą, kto wie coby się z wami stało.

To powiedziawszy znikł w tłumie.

Upadając pod ciężarem tak okropnych wrażeń, biedna Dolores zemdlała; Coursegol pochwycił ją w objęcia, i gdy zrozpaczony rozglądał się w około szukając pomocy, nagle na przeciwległéj stronie ulicy zobaczył szyld który przykuł do siebie wzrok jego. Na czarnéj tablicy namalowana była wielka czerwona czapka, a nad nią wypisane było ogromnemi także czerwonemi literami: *Pod frygijską czapką*. Tak więc, nie wiedząc o tem, już od kwadransa stał na przeciw winiarni Bridoul'a. Okrzyk radości wydarł się z jego piersi; porwał Dolores na ręce i zaczął wołać z całych sił.

Miejsca! miejsca! obywatele! córka moja zemdlała!

Prowancki ubiór Dolores oszukał wszystkich.

— To Marsylianin! zawołał jakiś głos z tłumu.

Wówczas w oczach dobrych patrjotów, każdy Marsylianin uchodził za bohatera. Wysoki wzrost i dzielna postawa Coursegol'a, utwierdzała to mniemanie.

— Tak, obywatele! jestem jeden z Marsylianów przybyłych pomagać braciom Paryżanom, zawołał.

Tłum rozstąpił się zaraz; mógł więc dostać się do zakładu pod *Frygijską czapką*. Wszedł do wielkiéj izby w któréj wówczas mało bardzo było osób, złożył Dolores na najbliższéj ławce, a nic nie widząc i nic nie słysząc, wziął szklankę wody i zaczął cucić zemdloną. Wkrótce otworzyła oczy.

— Czy lepiéj się czujesz, kochane dziecię?; zapytał z niewypowiedzianą troskliwością.

— Tak, mój dobry Coursegol'u, mój dobry ojcze, odrzekła poprawiając się, ale ogromnie się przeraziłam.

— Zapewnie tłum ścisnął bardzo obywatelkę! odezwał się głos za nimi.

Coursegol odwrócił się i ujrzał młodą jeszcze kobietę; w téj chwili przypomniał sobie że Bridoul był żonaty.

— Zapewnie obywatelka Bridoul? zapytał.

— Tak, Kornelja Bridoul.

— Gdzież mąż twój, obywatelko?

— Oto jest!

— Bridoul stał za żoną przypatrując się młodéj Prowansalce.

— Czy poznajesz mnie? zapytał Coursegol.

— Coursegol!

— Tak, ja, twój szwagier, a to młode dziewczę jest twoją siostrzenicą. Przybywamy z Beaucaire; opowiem ci wszystko.

Bridoul bystro obejrzał się w około i spostrzegł,

że nikt nie zajmował się nimi, gdyż wszyscy obecni postąpili ku drzwiom, aby poznać powód krzyków i dzikiego ryku wydawanego przez niezliczone tłumy.

— Żono! wyprowadź obywatelkę, za chwilę będzie tu ciepło.

Kornelja pociągnęła Dolores do izby po za sklepem, i zaledwie zdążyła zamknąć drzwi, niezliczone tłumy jakby szturmem zdobyły winiarnię. Najpierw wpadło dwunastu mężczyzn o strasznych, ponurych twarzach, z gęstemi, rozczochranemi włosami, dzikiem, bydlęcem spojrzeniem, obdartych i krwią zbroczonych. Byli to mordercy więźniów w la Force. Wstępowano na stoły i ławki aby ich lepiéj widzieć. Wszedłszy, krzyknęli „wina!" które Bridoul podał natychmiast. Jeden z oprawców trzymał w ręku świeżo odciętą głowę kobiety, któréj długie blond włosy owinął koło swéj gołéj ręki; pijąc postawił głowę na kantorze. Coursegol zamknął oczy, poznał piękną twarz księżnej de Lamballe.

Gdy wypili podane wino, jeden z hersztów zawołał:

— Trzeba teraz kazać ufryzować księżnę, aby zacna przyjaciołka poznała ją od razu,—a zwracając się do Bridoula, dodał:

— Czy nie ma tu gdzie blisko dobrego fryzjera?

— O jakie sto kroków daléj, przy Bastylji, odpowiedział.

— Daléj!! w drogę!, wrzasnęli oprawcy.

I znowu przodujący niósł głowę zamordowanej, tłum ruszył za nim i niezadługo nikogo nie było w winiarni.

Bridoul poszedł z Coursegol'em do izby po za sklepem, gdzie już Kornelja uspokoiła Dolores. Nic nie wiedziały co się działo w winiarni.

— Najpierw powiedz mi, zapytał Bridoul dawnego towarzysza broni: czy należycie do kategorji podejrzanych, lub czy uciekacie przed prześladowaniem. Czy może trzeba was ukrywać?

— Nie, odrzekł Coursegol; przybywamy do Paryża w nadziei znalezienia tu p. Filipa.

— Naszego dawnego kapitana?

— Tak jest, i opowiedział mu znane czytelnikowi spalenie zamku de Chamoudrin, śmierć starego margrabiego i zniknięcie Filipa.

Bridoul słuchał z boleśnem zajęciem, a gdy Coursegol skończył opowiadanie, odrzekł:

— Mógłbym prawie ręczyć że kapitana nie ma w Paryżu. Gdyby tu był, naraziłby się na niezliczone niebezpieczeństwa, równie jak każdy szlachcic, a w takim razie nie zapomniałby o swoim wiernym szeregowcu, którego poświęcenia mógł być pewnym.

— Ach! tyś się nie zmienił, stary przyjacielu! zawołał z rozrzewnieniem Coursegol, ściskając jego dłonie.

— Tak, kolego, nie zmieniłem się i zawsze pozostanę jakim byłem, ale trzeba być ostrożnym. Dobrze żeś wprost udał się do mnie, pozostaniecie tu jako moi krewni, dopokąd coś nie postanowimy, ale koniecznie dziś jeszcze musisz pójść zemną do sekcji w Temple do której ja należę, i tam przedstawię cię jako mego szwagra, dobrego patrjotę z Południa.

— A cóż u licha będę tam robił?

— Będziesz wrzeszczał i wył jak znajdujący się tam wilcy, bo to jedyny sposób aby niebyć przez nich pożartym.

Coursegol wahał się jakoś.

— Zdaje mi się, że pan Bridoul ma słuszność, rzekła Dolores.

— Podzielasz zdanie wuja, kochana siostrzeniczko, to bardzo dobrze, odrzekł Bridoul, tylko nie nazywaj mnie panem; bo już to samo mogłoby zaprowadzić do więzienia.

— Więc wszystko jest tu poczytywane za zbrodnię! zawołał Coursegol.

— Wszystko! wszystko, a szczególniéj gdybyś siedział tu z założonemi rękami, podczas gdy dobrzy patryoci idą do klubów słuchać rozpraw przyjaciół ludu; zwróconoby na ciebie uwagę, śledzono, szpiegowano, i za najlżejszem podejrzeniem poszlibyśmy spać na słomie więzienia Madelonnettes lub Abbaye, a stamtąd wiesz już gdzie się idzie.

Coursegol westchnął głęboko.

— No! nie wzdychaj tak ciężko, wszystko to nie przeszkadza pomagać poczciwym ludziom, i wierzaj mi byłbym bardzo, bardzo bogatym, gdybym miał tyle tysięcy luidorów, ile osób ocaliłem od dziesiątego sierpnia.

— Cicho! zawołała pani Bridoul, usłyszawszy kogoś wchodzącego, a mąż jéj pobiegł do pierwszéj izby, wołając: Niech żyją *sans-culotty*!

Były dragon Bridoul miał lat przeszło czterdzieści, był małego wzrostu, i tylko przez protekcję mógł się dostać do konnicy, gdyż pozbawiony był wszelkich zalet wymaganych od kawalerzysty. Był mały, pękaty, miał krótkie nogi, długie, wielkie i tłuste ręce, dużą głowę pokrytą najeżowym siwiejącym już włosem, małe okrągłe oczki, chód ciężki i niezgrabny;—ale w tych jego małych oczkach malowało się tyle dobroci, w głosie taka łagodność, iż łatwo było odgadnąć, że pod tą pospolitą i niepowabną powierzchownością, złote ukrywa się serce. Dwadzieścia pięć lat służył w wojsku, był dzielnym i walecznym żołnierzem, nareszcie zebrawszy sobie kilka tysięcy franków, wziął dymissję i ożenił się. Zaślubił młodą robotnicę z przedmieścia de Roule, któréj ładne oczy, na wylot, jak mówił, przeszyły jego serce, i która choć znacznie młodsza, z chęcią oddała mu rękę. W roku 1789 młodzi małżonkowie otworzyli winiarnię, i zawiesili po nad drzwiami szyld z napisem „pod czapką frygijską".

W gruncie duszy oboje byli zapalonymi rojalistami i gorzko opłakiwali uwięzienie Ludwika XVI-go i jego rodziny, ale już wówczas ogarnęło ich uczucie, które wkrótce miało stać się powszechnem, uczucie, strachu. Bali się aby ich nie zaliczono do podejrzanych, i obawa ta kazała im kłamać własnemu sumieniu i sercom, uwielbiając głośno uczucia i zasad, które potępiali w duszy, ale tym sposobem zyskali sławę najlepszych patrjotów. Od téj chwili szynk pod *czapką frygijską*, stał się miejscem schadzki okolicznych patrjotów. Tu odbywały się tajemne narady, tu przygotowywano rozprawy miewane w sekcjach i klubach, tu układano projekta, a wiadomość o tem dozwalała nieraz Bridoul'owi ocalać życie obywatelom wyjętym z pod prawa. Strach uczynił go ostrożnym, ale nigdy okrutnym lub podłym. Wszelkiemi siłami walczył z terroryzmem, osłaniał prześladowanych, dopomagał im do ucieczki. i czuwał nad ich majątkami skazanemi na konfiskatę. Szczęściem znalazł w żonie wiernego i odważnego sprzymierzeńca, odznaczającego się zimną krwią i rzadką przytomnością umysłu. Łatwo więc pojąć, że oboje tak serdecznie przygarnęli Coursegol'a i Dolores; nie wahali się nigdy ilekroć mogli zrobić komu coś dobrego.

Zaraz tego wieczora Dolores zamieszkała w pokoiku na pierwszem piętrze; Coursegol zajął maleńki tuż obok będący gabinecik. Do tego mieszkanka, które dotąd Bridoul wynajmował osobno, było zupełnie oddzielnie wejście, tak więc Dolores i Coursegol nie potrzebowali wchodzić do winiarni i narażać się na zetknięcie ze zwykłymi jéj gośćmi. Obiadowali wspólnie w izbie po za sklepem. Oprócz tego Dolores zmieniła strój prowański na zwykły ubiór prostych mieszczanek Paryża, aby jak najmniéj zwracać uwagę ciekawych, do czego i tak sama nadzwyczajna jéj piękność aż nadto dostatecznym była powodem.

Od téj chwili Dolores rozpoczęła nowe życie, pełne gwałtownych wzruszeń i niepokojów. Nowe położenie zmuszało ją przestawać często z osobami należącemi do pospólstwa i być naocznym świadkiem rozlicznych wstrząśnień i zaburzeń charakteryzujących ówczesną epokę. Smutneż to było życie!

Zfanatyzowana ludność, dziką, rozszalałą wściekłość brała za patrjotyzm, i w jego imieniu najstraszniejszych dopuszczała się gwałtów. Nikt nie był pewnym jutra, agenci teroryzmu chwytali po ulicach najspokojniejszych przechodniów, pod pozorem że poznają w nich arystokratów. Połowa ludności opuściła Paryż; całe cyrkuły, jak przedmieście Saint-Germain, przedmieście du Roule, ulica Mont-Blanc, stały pustkami, a pałace szlachty skonfiskowane i po większej części sprzedane jako własność narodu. Brak brzęczącéj monety co raz dotkliwiéj uczuwać się dawał, to spowodowało do wypuszczenie assygnatów, których znów nikt bez wyraźnego przymusu przyjmować nie chciał. Handel i przemysł stanęły; powozy nie ukazywały się prawie na spustoszałych ulicach. Zdawało się że życie zwolna opuszcza Paryż, przenosząc się wyłącznie do klubów, Konwencyi i pałacu *Egalité*.

Pierwszéj niedzieli po przybyciu do Paryża, Dolores widząc że Kornelja codziennie odmawia pobożnie ranne i wieczorne modlitwy, zapytała jéj przy śniadaniu:

— O któréj godzinie pójdziemy do kościoła?

— Do kościoła! a to po co? odrzekła z zadziwieniem.

— Aby wysłuchać mszy.

— Co! słuchać mszy księży renegatów!... a widząc że Dolores nie rozumie znaczenia jej słów, dodała: Teraz tym tylko księżom wolno odprawiać msze w kościołach, którzy przysięgli posłuszeństwa *sansculottom*.

— Więc nie bywacie w kościołach?

— A po cóż tam chodzić, kiedy nie dadzą nam modlić się swobodnie.

Tegoż dnia wieczorem gdy już zamknięto winiarnię, Kornelja poszła do pokoiku Dolores, i rzekła z cicha:

— Widziałem jak przykro ci było żeś dziś rano nie mogła być na nabożeństwie; otóż zawiadomiono mnie, że pewien czcigodny kapłan ukrywający się w pobliżu u poczciwych ludzi, dziś pózno wieczór odprawi mszę świętą.

— Ach! pójdźmy jéj wysłuchać, zawołała Dolores.

— Dobrze, Coursegol będzie nam towarzyszył, a Bridoul pozostanie w domu na straży.

(d. n. c.)

Opisy do N. 34.

N. 1. Suknia

ślubna ubrana koronkami.

Gładka suknia z długim trenem z ciężkiego jedwabnego rypsu, ogarnirowana jest koronkami, pliskami i kokardami, przy baskinie, na staniku i rękawach. Długi i szeroki welon z iluzji, przypięty na środku głowy, spada na tył w rzęsistych fałdach, nie zasłaniając twarzy ani djademu z róż, zastępującego wianeczek ślubny.

N. 2. Suknia ślubna z falbanami.

Suknia powłóczysta muślinowa, oszyta czterema wolantami, zachodzącemi jeden na drugi; najwyższy z nich zakończony nadgłówkiem, przymocowany jest pliską stębnowaną muślinową, albo wstawką koronkową. Piąty wolant naszyty wyżéj w pewnym odstępie, naśladuje tiunikę. Gładki bluzkowy stanik pod szyję, przepasany rypsowym paskiem z takiemiż szarfami. Rękawy obcisłe z bufkami. Wianeczek i bukiet mirtowy. Welon z jedwabnego tiulu z przodu spuszczony na twarz, z tyłu aż na tren spada. Mankietki i kołnierzyk koronkowy.

N. 3—4. Frendzle

kwastowe z nagłówkiem szydełkowym.

Pojedyncze części nagłówka robią się oddzielnie i spajają ze sobą, a następnie wszywa się w nie sute wiązane kwasty. Takie frendzle odrobione być mogą z czarnego jedwabiu, albo z białej lub niewarowéj kręconej bawełny.

N. 3. Frendzla

z podwójnym nagłówkiem.

Górne większe kółko każdéj figury, zaczyna się od 16 o. łań., dolne, małe składają się z 8 oczek. Następnie około wyższego daje się 4 o. ścisłe w 4 początkowe, 8 pik. z 5 o. po. przedzielanych i przyrabianych ocz. śc. znów 4 o. ścisłych. Potem około kółka niższego, 1 o. śc., 7 pik. przedzielanych 1 o. śc. nakoniec 1 o. ścisłe.

N. 4. Frendzla

z nagłówkiem z pojedynczych kółek i torsadką z ząbkami z tasiemeczki.

Każde oddzielne kółko zaczyna się od 5 pikotów z 6 o. po. złączonych 1 śc., potem nabiera się sposobem tunetańskim 5 o. na igłę, zaczepiając raz przy innym pikocie, potem wszystkie 5 oczek łączy się jednym i robi w dalszym ciągu 12 o. po., które łączą się w kołko i obrabiają 5 o. śc., 3 po. (na pikot), 5 o. śc., 3 po., 5 o. śc., 3 pow. i jeszcze 5 ścisłemi. Przyczem wrabia się wiszącą nitkę początkową, ażeby uniknąć zmużego zakończania. Torsadkę z ząbków i roboty szydełkowéj robi się osobno.

N. 5. Koronka armeńska.

Robi się igłą w ręku bez żadnych przyrządów tylko około nitki wiążąc węzełki ściegiem guzikowym. Formę ząbków nadaje się przez gubienie i przybieranie. Każdy rząd dziergany robi się od ręki lewéj do prawéj i następnie przeprowadza roboczą nitkę luźną, od prawéj do lewéj i obrabia około niéj rząd następny.

N. 6—11. Robota pluszowa

na kanwie, na poduszki, stołeczek pod nogi lub t. p.

Materjał: Cienka kanwa niciana, włóczka angielska w dwóch dobrze odróżniających się cieniach jednego koloru.

N. 6 przedstawia deseń na puduszkę, który odrabia się dawno znanym ściegiem pluszowym. Robi go się dwoma cieniami jednego koloru, dając deseń pluszowy, na tle gładkim krzyżowym. Na naszym wzorze wybrane są cienie zielone. Najpierw podług wzoru, odrysować trzeba lub odznaczyć poł krzyżykami kontur deseniu na kanwie, następnie zapełnić tło krzyżykami, potem dopiero robić ścieg pluszowy. Stosownie do grubości kanwy, używa się włóczki berlińskiéj lub angielskiéj, ale zawsze nitki pojedynczéj. Każdy węzeł składa się z dwóch ściegów, zajmujących cztery nitki w kwadrat, jak w zwykłej robocie krzyżowej. Jak to próbka N. 10 wskazuje ścieg pluszowy odrabia się prostemi rzędami zaczynanemi tuż przy krzyżykach tła. Ścieg pierwszy przewłóczy się prosto wzdłuż pod dwie nitki, sposobem na N. 8 oznaczonym, koniec nitki podkłada się pod nitkę roboczą, przytrzymuje mocno dużym palcem lewéj ręki, potem ominąwszy dwie nitki na szerokość, podkłada się igłę jak przy zwykłéj robocie krzyżowéj, przytrzymuje przewleczoną nitkę dużym palcem, przewłóczy ścieg następny przez te same nitki co poprzedni, pozostawiając z nitki roboczéj pentelkę 1 cent. długą, którą się ściegiem następnym mocno przewiązuje. N. 9 lepiéj jeszcze układ ściegów wyjaśnia. Po zakończeniu każdego rzędu, nitkę od spodu przewleczoną ucina się, a rząd następny znów od ręki lewéj ku prawej prowadzi.

Gdy robota jest już wykończona przecina się pentelki nożyczkami, nadając liściom wypukłość większą w środku i zaokrąglając je ku brzegom. Potem trzyma się robotę nad parującą wodą, ażeby nitki powstały i utworzyły gładką całość.

N. 12. Wstawka frywolitowa.

Zaczyna się od środkowych owalnych liści, na które trzeba: 2 pod. węz. 7 pik. przedzielanych 2 podwójnemi węzełkami. Po skończeniu listka dodaje się zaraz do niego 5 górnych węz. Józefiny, odrobionych tą samą nitką i przyrobionych do środkowego pikotu; poczem robi się listek następny. Węzły Józefiny będące z drugiéj strony, odrabia się następnie inną nitką; na każdy taki węzeł trzeba 5 pojedyn. węzłów. Dwa rzędy będące po brzegach mają na przemian: owalny listek złożony z 13 pod. węzłów z jednym pikotem na środku, za który przyrobione są do środkowego węz. Józefiny i zęby robione dwoma nitkami. Na każdy ząb trzeba 3 pod. węz., 4 pik. przedzielanych 2 pod. węz. i 3 pod. węzły.

N. 13. Wstawka szydełkowa.

Robotę zaczyna się od 2 środkowych rzędów listków. Na każdy listek oddzielony od następującego 1 o. pow., potrzeba 7 o. pow. 2 słup. 3 razy nawijanych, wziętych w pierwsze z 7 o. p. które zatrzymuje się na igle i zrabia wszystkie jednym oczkiem. Drugi rząd listków środkowych łączy się z poprzedzającemi podwójnym słupkiem w sposób na próbce wskazanym. W 2gim rzędzie daje się na 1szy ząbek * 1 o. śc. w sł. środkowy, 9 o. pow. 1 pi. z 5ciu o. po. 2 o. pow. 1 o. śc. w środkowe między listkami; na drugi ząbek, 2 o. pow. 1 pik. z 5ciu po. 9 o. pow. i powtarzać od *. W 3cim rzędzie daje się naprzemian, 1 duży ząbek z 12 o. pow. 1 mały z 3 o. pow. przyrabianych 1 o. ścisłem. W rzędzie 4ym obrabia się ząbki większe 16 o. śc. z dodaniem 3 pik. pentelkowych, a mniejsze 5 o. śc. z 1 pikotem na środku.

N. 14. Lambrekina.

Bukiecik składa się z gałązek i listeczków, odrobionych ściegiem cierniowym i łańcuszkowym, kordonkiem zielonym do cieniu oraz z pąsowych pączków i kwiatków niebieskich, z supełkami żółtemi w środku, które odrabia się pełami. Brzeg lambrekiny wycięty jest w zęby, odziergane kordonkiem tego co tło koloru, i obrobiony następnie od lewéj strony ząbkami koronkowemi, jaśniejszym odcieniem kordonku.

N. 15. Lambrekina

z ząbkami wyciętemi w maszynie.

Na suknie fijołkowym lub brązowym, deseń odrabia się ściegiem łańcuszkowym, kordonkiem tego co tło koloru w dwóch cieniach, z dodaniem pojedynczych ściegów nitką złotą.

N. 16. Czepeczek

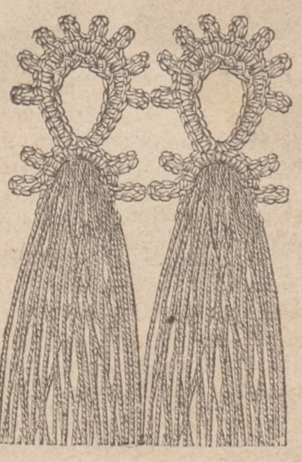
muślinowy haftowany. Deseń pasów w N. 34 T. ryc. 22.



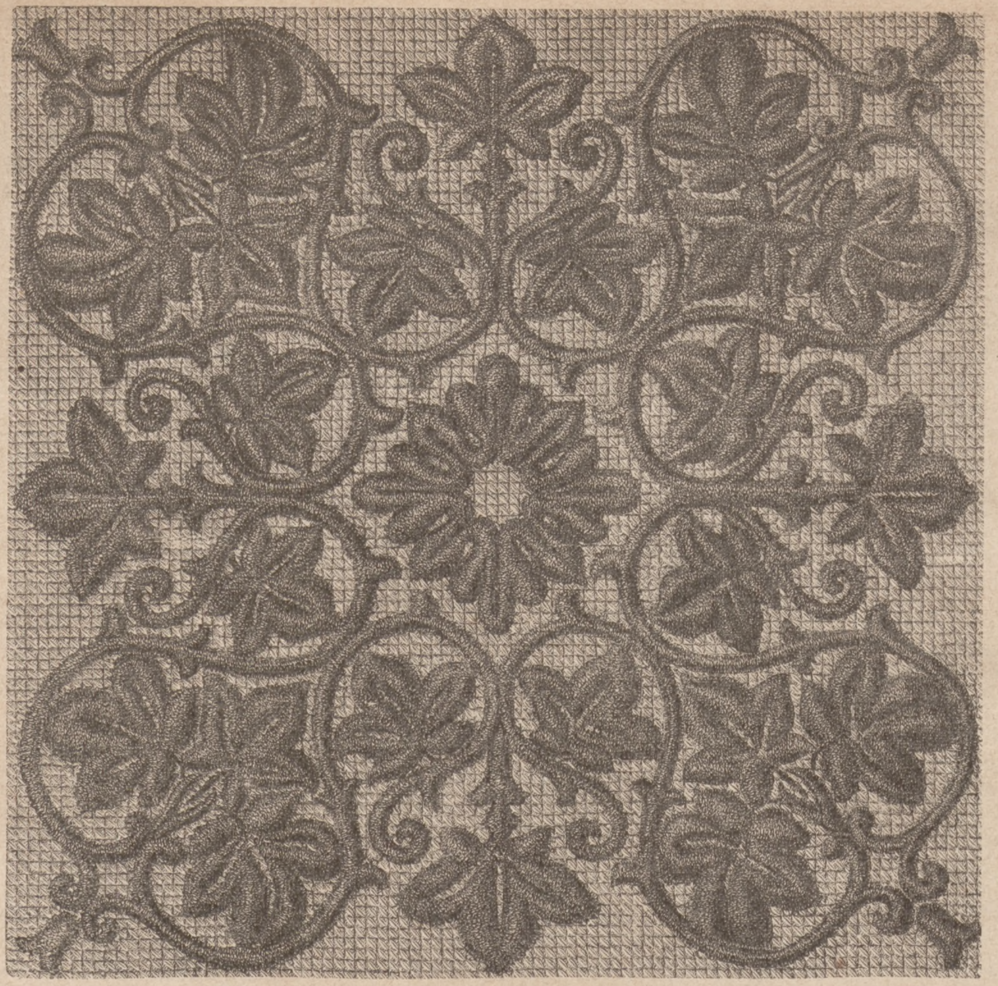
N. 1. Ślubna suknia z koronkami. N. 2. Ślubna suknia z falbankami.

Ozdobę okrągłego denka, stanowią trzy pasy 5 i pół cen. szerokie, złożone ze wstawki koronkowej i brzegów dzierganych, podług ryc. 22 podanej w N. 34 Tygodnika. Jak to powyższy rysunek nieco zwężony wskazuje, środkiem muślin jest wycięty, wstawka podszyta od spodu, lub razem przydziergana, a następnie pasy wprawione w denko okrągłe w odstępie 1 i pół cent. od siebie.

Kokarda haftowana z końcami na denko spadającemi, składa się ze wstawki i szlaczków dzierganych, w środku gładkim paskiem muślinu połączonych, szerokość kokardy wynosi 13 centymetrów. Końce z jednej strony prosto, z drugiej skośno krajane, ozdobione są także wstawką i szlaczkiem dzierganym. Denko wszyte jest w pasek muślinowy, którego wielkość zastosowana do miary głowy. Garnirunek stanowi pasek muślinu 4 i pół centym. szeroki, z brzegów odziergany i muszkami ozdobiony, który środkiem jest trochę przymarszczony. Zanim sposobem djademowym, przyszyta falbanka 5 cent. szeroka koroneczką oszyta i ułożona w kontrafałdy, między które wpięte są pukielki z aksamitki 2 i pół cen. szerokiej. Końce z tyłu na kokardę związane są także z aksamitki, koroneczką oszytej.



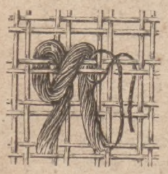
N. 3. Szydełkowa frendzla z nagłówkiem z podwójnych kółek.



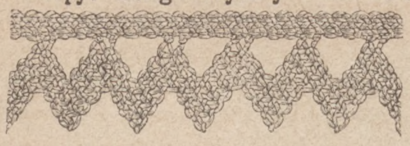
N. 6. Haft na poduszkę do kanapy. Ścieg strzyżony Patrz N. 7—11 na tle krzyżowem.



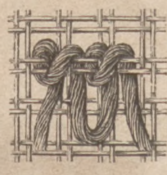
N. 4. Szydełkowa frendzla, z nagłówkiem z pojedynczych kółek i plecionki.



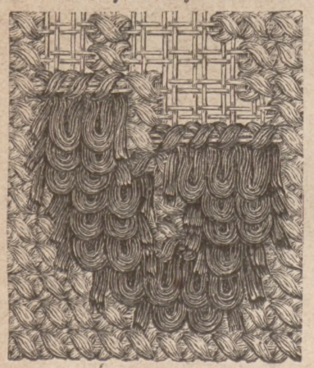
N. 8. Wykonanie ściegu pluszowego. Początek rzędu do N. 6.



N. 5. Koronka armeńska.



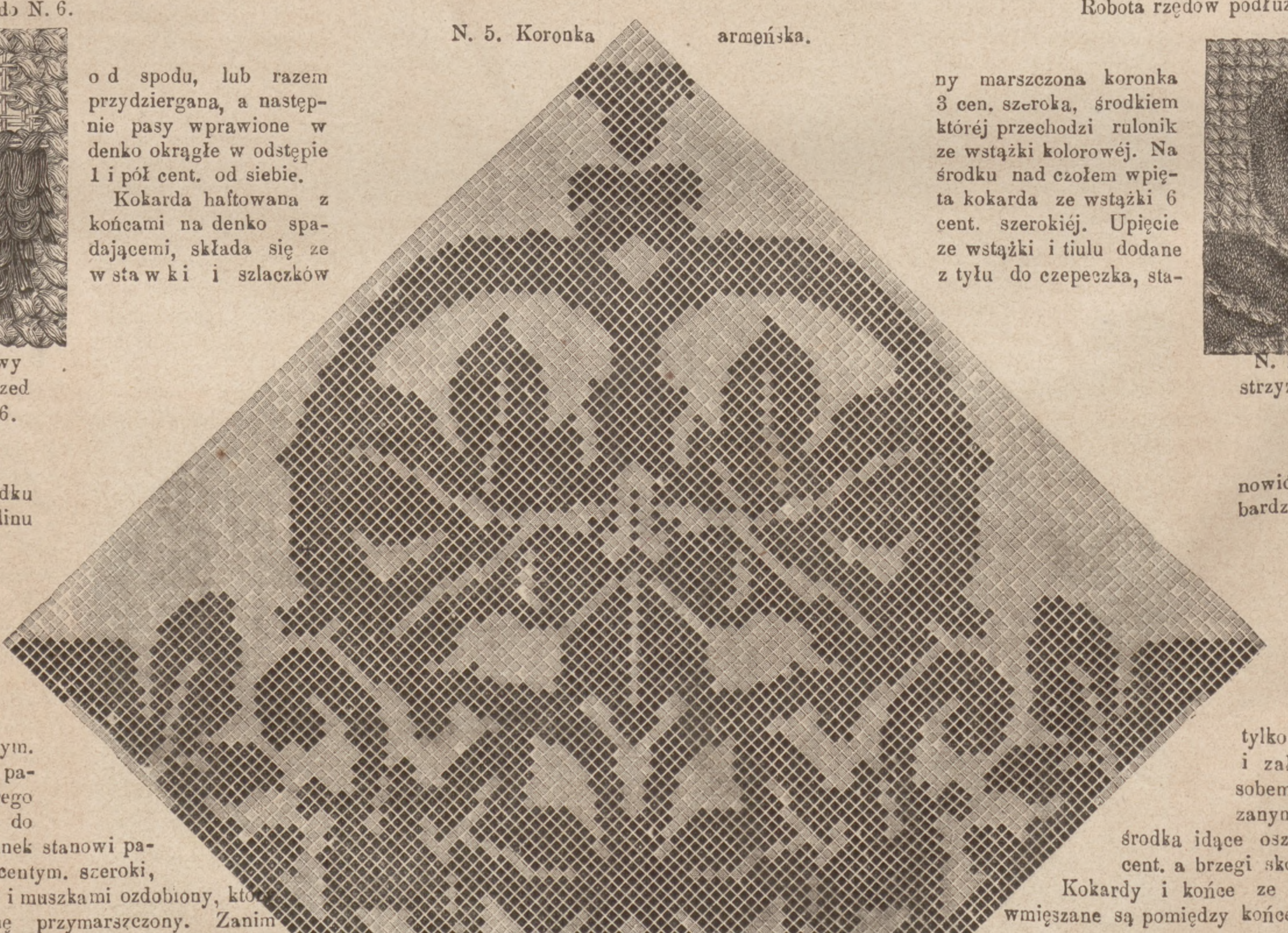
N. 9. Wykonanie ściegu pluszowego. Robota rzędów podłużnych. Do N. 6.



N. 10. Ścieg pluszowy na tle z krzyżyków przed strzyżeniem. Do N. 6.



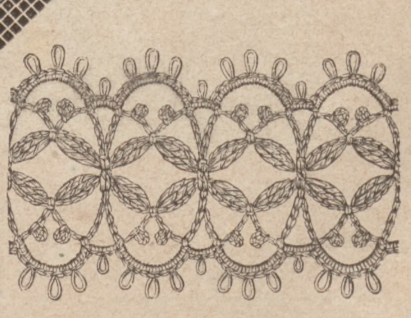
N. 11. Ścieg pluszowy strzyżony. Wielkość naturalna.



N. 7. Deseń do haftu na poduszkę N. 6.



N. 12. Wszywka z frywolitów.



N. 13. Wszywka szydełkowa.

N. 17. Czepeczek z płaskiem denkiem z tiulu i koronki.

Okrągłe denko tiulowe mające 22 cent. średnicy przyszywa się do paska drutem podszytego 1 cent. szerokiego a 24 długiego, złączonego jako kółko. Zbywającą szerokość denka potrzeba rozdzielić na równe drobne fałdki. Na pasku naszywa się na dwie strony marszczona koronka 3 cen. szeroka, środkiem której przechodzi rulonik ze wstążki kolorowej. Na środku nad czołem wpięta kokarda ze wstążki 6 cent. szerokiej. Upięcie ze wstążki i tiulu dodane z tyłu do czepeczka, stanowić by także mogło bardzo zręczne ubranie kapelusza. Końce tiulowe mają z brzegów prostych 27 cent. długości, z brzegów zaś skośnych 30, brzeg górny poprzeczny jest tylko 14 centy. szeroki, i założony w fałdy sposobem na rysunku wskazanym. Brzegi proste do środka idące oszywa się koronką 2 cent. a brzegi skośne 3 cent. szeroką. Kokardy i końce ze wstążki kolorowej, wmięszane są pomiędzy końce tiulowe.

N. 18. Vêtement garnirowane koronkami do ryc. 31 w N. 35 Tygodnika. Rysunek z przodu.

N. 19—21. Suknia z bluzką, tuniką i pelerynką.



N. 14. Haftowana lambrekina z zakończaniem ze ściegu koronkowego.

Suknia z bawełnianego bareżu w kolorze écru, ma falbany, riusze i kokardy, objęte stębnowanemi pliskami z białego perkalu. Przy stojącym kołnierzyku bluzki, pelerynki, zeszyciu rękawów i ramion, są także dodane białe wypustki. Spódnica oszyta jest dwoma skośnemi wolantami 29 i 11 cent. szerokiemi, szerszy z nich w miejsce białej wypustki, ma szeroki stębnowany obrąb. Nad wolantami dodana riusza 8 cent. szeroka środkiem marszczona, a z brzegów w rurki ułożona. Przy tiunice przedni bryt ma 55 cent. długości w środku, a 60 z brzegów; 35 cent. górnéj a 56 dolnéj szerokości. Dwa boczne kliny mają 72 cen. długości, 19 górnéj a 30 dolnéj szerokości. Dwa tylne bryty tylko od góry z przednich brzegów trochę skośno ścięte, są 99 cent. długie 63 cent. szerokie. Tak tylne, jak i graniczące z niemi boczne bryty, są przy zeszyciu do 30 cent. skrócone przez podpięcie. Podpinanie uskutecznia się z lewej strony, zapomocą pentelek i guzików. Z każdego boku w odległości 42 cent. od paska, a 36 od środkowego zeszycia przyszywa się guzik, a przy pasku na 3 cent. odległe od rozporka przyszyty jest troczek 23 cent. długi z dziurką daną na końcu. Kokardy przy podpięciu tiuniki są pojedyncze, a końce przy nich podwójne, mają 16 cen. długości i 7 cent. szerokości. Karoczek oszyty dwoma falbankami i riuszą, układa się z podwójnie danego kawałka, mającego 35 cent. szerokości a 17 długości, który zaokrągla się u dołu i podcina u góry. Brzeg górny założony jest w głęboką kontrafałdę i wszyty w pasek. Falbany przy rękawach są 60 cent. szerokie i 11 cent. długie. Przyszycie falban pokrywa wyłożenie z podwójnego materjału na sztywnéj podszewce, mające 7 i pół cent. szerokości w środku 5 i pół c. w końcach, które przyszywa się u góry szwem odwracanym, i u dołu garniruje riuszą 5 cent. szeroką. Rycina 20 przedstawia to samo ubranie z przodu, z dodaniem pelerynki, któréj forma znajduje się na arkuszu dodatkowym do N. 31 i 32 Tygodnika Mód.



N. 16. Ranny czepeczek muślinowy z haftem.

N. 22—23. Suknia

z kaftaniczkiem i tiuniką. Krój kaftaniczka w N. 22 Tygodnika ryc. 2.

Kaftaniczek wcinany i tiunika są z perkalu écru w ciemniejszym odcieniu, z plisami jaśniejszemi, spódnica zaś jest jaśniejsza z ciemniejszemi plisami.

Na ryc. 22 podanéj z przodu, szerokie plisy przy kaftaniczku i tiunice wyszyte są sutaszem i wązką pliską ciemniejszą, środkiem przestębnowaną. Szeroki skośny wolant u spódnicy, ozdobiony jest u dołu plisą ciemniejszą i wyszyciem z sutaszu, nad wolantem dane dwie wązkie pliski, środkiem przestębnowane.

Na ryc. 23 odrysowanéj z tyłu, spódnica u dołu oszyta jest plisą przystębnowaną, 9 cent. szeroką, nad którą dano 6 plisek wązkich, środkiem stębnowanych. Przy kaftaniczku plisa szeroka ma 7 i pół a wązka ciemna 1 i pół cent. szerokości, przy tiunice 4 i pół i 1 centym. szerokości. Frendzla jest tego co plisa koloru. Tylny bryt tiuniki mający 105 cent. długości a 66—70 szerokości, jest u dołu trochę w ząb ścięty, z boków zaś tylko na 16 cen. od góry z bocznemi klinami złączony, te ostatnie mają 56 cent. długości, a 28 szerokości i są od przodu trochę zaokrąglone. Małe przednie bryciki mają tylko 32 cent. długości, u góry 4 a u dołu 14 cent. szerokości. Chusteczkowy kołnierz z podłużnym wykrojem, ma w środku 6 cent. a z przodu w najszerszem miejscu 13 cent. szerokości. Rękaw jest na zwierzchniu rozcięciu trzema kokardami złączony; guziczki jaśniejszym perkalem pokryte, służą do zapięcia stanika i naszyte są z tyłu na fałdach.

N. 24. Suknia

ze stanikiem z baskiną i z tiuniką otwartą z przodu.

U sukni wełnianéj jasno popielatéj, wolanty i plisy są ciemniejszego cieniu, tegoż samego koloru. Garnirunek spódnicy składa się z falbany skośnéj 15 cent. szerokiéj i plisy 5 cent. wyszytéj sutaszem tego samego koloru, zakończonéj w górze falbaneczką układaną w rurki, mającą 1 i pół cent. szerokości; wypustka przy falbaneczce jest jaśniejsza. Garnirunek ten z tyłu i z boków daje się w niejakim odstępie od dołu spódnicy, ku przodowi zaś jest sposobem na rycinie wskazanym zaokrąglony i z dwóch stron nakształt fartuszka, aż do paska naszyty, przyczem falbanę zwęża się stopniowo. Przy tiunice i staniku wolant ma 7 i 6 cent. szerokości, a plisa 4 centymetry. Tiunika składa się z dwóch prostych, od dołu zaokrąglonych brytów, mających 114 cent. długości a 66 cent. szerokości. U góry jest do 42 cent. objętości sfałdowana i w wązki pasek wszyta, z brzegów w odległości 13 cent. od góry zaszywa się 3 głębokie fałdy. Podpięcie z boków dopełnia się za pomocą tasiemek, przyszytych do paska i do tiuniki w odległości 37 cent. od góry, w środku zaś tylnego bryta zakłada się 2 fałdy 11 cent. głębokie. Szarfy przypięte z tyłu układa się z obydwóch cieni materjału.

N. 25. Suknia

z wolantami i stanikiem z baskiną.

Czarna matowa wełniana suknia, oszyta jest najpierw u dołu dwoma wolantami na sznureczek przymarszczonemi, wolanty te mające 30 i 19 cent. szerokości są ku przodowi stopniowo zwężone i ogarnirowane 9 i 7 i pół centymetrów szerokiemi skośnemi falbankami, z materjału w paski białe i czarne. Trzeci wolant 24 cent. szeroki, także falbankami zakończony, dochodzi tylko do przednich klinów spódnicy. Tiunika w miejsce tylnego bryta, mająca tylko karoczek ułożony z wolantu falbankami oszyty, składa się z bryta przedniego 50 cent. długiego, szerokiego u góry 30, a u dołu 65 cent. i z dwóch bocznych klinów téj samej długości, u dołu 30, w górze 13 cent., szerokich. Wolant mający 28 cent. szerokości a 130 cent. długości, zakończony falbankami i na sznureczek zmarszczony, stanowi garnirunek tiuniki, któréj nie zeszywa się z tyłu tylko przyszywa do tylnego bryta spódnicy, nie daleko od rozporka. Przody stanika z baskiną kraje się podług formy dodanéj do ryc. 2 w N. 19 Tygodnika i złożone są z materjału gładkiego i w paski w ten sposób, iż tworzą niby kamizelkę i kaftaniczek z wykładanemi klapami. Dla lepszego wyjaśnienia kroju podamy w następnym Nrze Tygodnika, rysunek stanika z przodu. Tylna część baskiny jest jak to widzimy fałdowana i falbanką w paski oszyta. Wykrój szyi zakończony małym stojącym kołnierzykiem, oszyty jest prócz tego koronką białą i czarną. Wązkie rękawy ubrane są falbanką w paski i oszyte koronką.

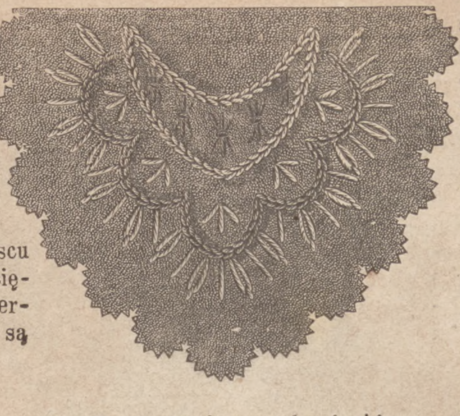
Opis N. 25.

N. 1—2. Chusteczka

muślinowa z koronkami irlandzkiemi.

Wzór szlaku ryc. 14.

Chusteczkę przedstawioną z przodu i z tyłu pod N. 1 i 2, mającą w prostych brzegach po 63 cent. długości, odrobić można z muślinu, z czarnéj lub kolorowéj grenadiny z gazy lub „Crêpe de Chine." Koronkę przyszytą z brzegu przedstawia N. 15 na wstawkę podamy deseń w jednym z następujących numerów. Wstawka i szlaczek wywodzony na tiulu, albo piękne i cienkie frywolitki, mogą zastąpić koronkę irlandzką. Ażeby tak przy wstawce jak i oszyciu, uniknąć zeszycia lub przymarszczenia na rogu, które zawsze niełładnie wyglądają, potrzebną formę spiczastą nadaje się już przy robocie koronki. Fałdy przy wykroju szyi, powinny być z tyłu na środku i z przodu przy krzyżujących się końcach zaszyte. Wykrój oszyty jest nadmarszczoną koronką 1 i pół cent. szeroką. Kokardy i szarfy z kolorowéj wstążki, przypięte sposobem na rycinie wskazanym, dopełniają przybrania téj ładnéj chusteczki.



N. 15. Haftowana lambrekina z brzegiem wyciętym w ząbki.

N. 3. Chusteczka

z tiulu koronkowego, przybrana wstążką i koronką.

Chusteczka krzyżowa z czarnego koronkowego tiulu, z zaokrąglonym wykrojem szyi, ma w prostych brzegach 70 a w skośnym 104 cent. długości, róg tylny i końce z przodu są troche ścięte i zaokrąglone, tak iż po podcięciu wykroju, szerokość środkowa wynosi 28—30 cent. U góry chusteczkę oszywa się koronką 2—3 cen. u dołu 7—8 cent. szeroką. Na plecach w dwie fałdy założonych, naszywa się marszczoną koronką, przepinaną puklami ze wstążki czarnej i kolorowéj w sposób na rysunku wskazany.



N. 17. Ranny czepeczek z płaską główką z tiulu i koronki.

N. 4. Chusteczka

tiulowa haftowana.

Prosty kawałek tiulu lub muślinu, w środku w ząb śpiczasty zaszyty i przez środek wzdłuż złożony, stanowi właściwą chusteczkę, któréj zwierzchnie wyłożenie przyozdobione jest haftem lub wywodzeniem; dolną połowę oszywa się szeroką falbaną, z tyłu w wachlarz ułożoną; do przodów zwężoną. Kokardy i szarfy z kolorowéj wstążki stanowią przystrojenie.

N. 5. Stanik

gorsecikowy oraz bluzka i tiunika tiulowa.

Czarna tiulowa bluzka z wązkiemi rękawami dopełniona jest stanikiem gorsecikowym z epoletami w zęby, wycinanemi. Staniczek ten z jedwabnego rypsu, oszyty jest rulonikami atłasowemi i koronką 6 i 1 i pół cent. szeroką. Cała bluzka ułożona na podszewce z gładkiego tiulu, w podłużne marszczone bufki, przedzielane rulonikami atłasowemi. Podłużny wykrój pod szyją, oszyty jest koronką 5 cent. szeroką, w rurki ułożoną. Wązkie rękawy w środku są w podłużne bufy ułożone, w górze i przy ręku dwoma poprzecznemi bufami zakończone i koronką ogarnirowane. Kokardę przy rękawach z 7-u,

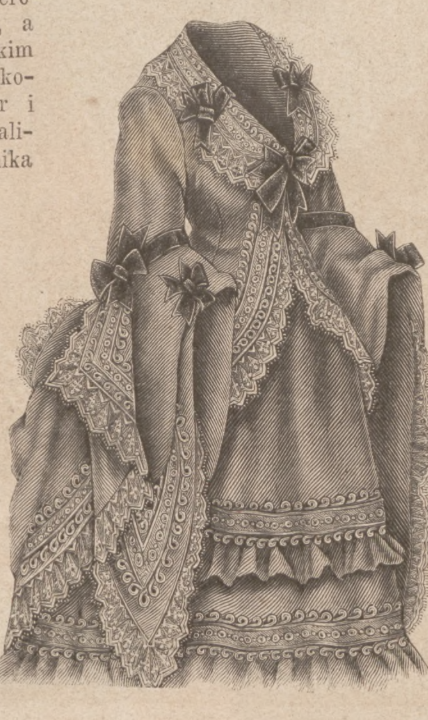
10—13 cent. długiemi końcami, układa się ze wstążki rypsowéj 2 cent. szerokiéj.

Tunika z koronkowego tiulu kraje się podług formy spódnicy i może być dłuższą lub krótszą stosownie do gustu. Z boków podpina ją się kokardami z szerokiéj rypsowéj wstążki, a u dołu zakończa wązkim brzeżkiem i aplikacją koronkową, któréj wzór i sposób wykonania podaliśmy w N. 29 Tygodnika ryc. 8 i 9.

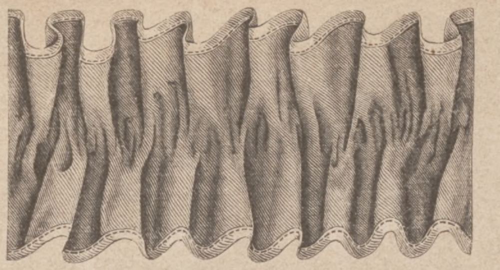
N. 6. Ubranie spacerowe podane z tyłu.

Zobacz przód ryc. 18 w Tyg. N. 34 i ryc. 14 w obecnym Numerze.

Vêtement, które nosić można przy każdéj kolorowéj jedwabnéj lub wełnianéj sukni, jest z czarnéj grenadiny. G a r n i r u n e k stanowi szlak gipiurowy, haftowany na podwójnéj grenadinie jedwabiem czarnym i wyszywany j e d-wabnym sutaszem perełkowym. Deseń naturalnéj wielkości, podajemy na ryc. 14. Gdy kontury są już odznaczone sutaszem, który przyszywa się jedwabiem gęsto i drobno, odrabia się wówczas kratki gipiurowe, mocnym kordonkiem. Ścieg krzyżowany, muszki wypukłe i ścieg cierniowy odrabia się jedwabiem cienkim. Pod kratkami tło powinno być troskliwie i ostrożnie wycięte. Brzeg szlaku, oszywa się fabrycznymi pikotami, albo obrabia koronkowemi ząbkami. Kokardy przy rękawach, przy pasku, jako też i pasek, są z szerokiéj rypsowéj wstążki, koloru sukni. Biały bastowy kapelusik ubrany jest czarną wstążką i bukietem kwiatów tego co suknia koloru. Trójkątna woalka z czarnéj gazy lub tiulu, oszyta wązką frendzelką. Na rycinie 18 w N. 34 Tygodnika z przodu podane ubranie z jasnego jedwabnego bastu, ozdobione jest wstawką, koronką białą i wyszyciem z sutaszu. Kokardy z czarnéj aksamitki.



N. 18. Vêtement przybrane koronką. Przód do ryc. 6 w N. 35 Tyg. Mód.



N. 21. Riusza z przystębnowaną wypustką do ryc. 19—20.



N. 19. Ubranie z bluzką, tuniką i karoczkiem do paska. Patrz N. 20—21.



N. 20. Ubranie z bluzką, tuniką i karoczkiem do paska. Patrz N. 19 i 21.

N. 7—8. Pas do dzwonka.

Aplikacja z aksamitu i plecionki jedwabnéj.

Materjał: P a s s u k n a pąsowego mający 200 cent. długości a 14 szerokości, takiż kawałek kaszmiru na podszewkę; sukno białe na medaljony, kawałeczki aksamitu czarnego; 130 centym. wstążeczki pąsowéj w atłasie, mającéj 2 i pół c. szerokości plecionka j e d w a b n a pół c e n t y m e t r ó w szeroka w kolorze pąsowym, niebieskim, pomarańczowym, fijołkowym, stalowym, zielonym i maisowym; kordonek czarny, maisowy i zielony do cieniu, sutasz perełkowy czarny jedwabny. Kawałek szerokiéj, kręconéj, wełnianéj frendzli w kolorze pąsowym, z któréj robi się suty kwast z nagłówkiem, przyozdobiony jedwabiem białym czarnym i żółtym, kwast ten wisi przy dwóch kawałkach pąsowego sznura, mających 7 cent. długości. Dwa pręciki żelazne mające 11 cent· długości a 1 i pół obwodu.



N. 22. Ubranie z tuniką i kaftanikiem z wyszywanemi plisami. Przód do ryc. 23.

N. 23. Ubranie z kaftanikiem i tuniką oszyte plisami gładkiemi. Plecy do N. 22.



N. 24. Suknia ze stanikiem z baskirą i tuniką otwartą z przodu.

N. 25. Suknia przybrana wolantami i stanik z baskiną. Przód patrz ryc. 29 w 35 N. Tyg. Mód.